



**MARCELLO  
ARGILLI**

**DZIESIĘĆ  
MIAST**

**Przełożyła  
ZOFIA ERNSTOWA**

**NASZA KSIĘGARNIA  
WARSZAWA 1974**

Tytuł oryginału włoskiego

LE DIECI CITTA'

Ilustrowała Denise Berton

(przedruk ilustracji z wydania włoskiego)

(C) 1970

Casa Editrice Valentino Bompiani end C. S.

p. A., Milano

Wiersze przełożył Jerzy Kierst

Sprawę tę postawmy jasno:  
trzeba sobie wybrać miasto  
takie, które w sercu wzrasta  
ponad inne piękne miasta,  
by nadzieja i pomysły  
nad lenistwem w nim rozbłysły.  
Ile serc jest — tyle i miast,  
bardzo dużo — więcej niż gwiazd.  
Niech nie zbraknie Ci fantazji,  
by je zwiedzić przy okazji.

# POEZJOGRÓD





### Strajk w mieście poetów

Załoga robotnicza Wielkiej Drukarni w Poezjogrodzie opuściła miejsce pracy. Uformowawszy pochód wyruszyła do Ratusza, wnosząc do góry naprędce sporządzone transparenty:

„Bunt i protest generalny  
za ten czyn niedopuszczalny!  
Biada tym, co niecną twarzą  
pracę naszą lekceważą!  
W mieście naszym dzieje źle się!  
Nasze miasto bunt podniesie!”

W miarę posuwania się pochodu zamykano sklepy i biura i wszyscy bez wyjątku dołączali do pracowników Wielkiej Drukarni. Cały Poezjogród przerwał pracę wraz z nimi.

Wzburzony tłum zebrał się pod Ratuszem, po czym zażądano, aby Burmistrz przyjął delegację. Członkowie jej przedstawili z oburzeniem zniewagę, jakiej doznali pracownicy Wielkiej Drukarni — właśnie oni, którzy drukowali zbiory poezji, słowniki rymów, podręczniki sztuki wierszowania — i zażądali sprawiedliwości rzucając straszną pogrózkę.

Przerażony Burmistrz wezwał natychmiast Radnych miasta.

— Czy nie dosyć zarabiają?

Strajku chce się tym hultajom? —  
pytał jeden z Radnych.

— Gorzej jest. O, stokroć gorzej!

Nic nam, nic już nie pomoże! —  
odrzekł Burmistrz.

— Czy już wznoszą barykady  
buntujące się gromady?

— Gorzej jest! O, stokroć gorzej!

Nic nam, nic już nie pomoże!

— Straszne rzeczy! Głowa puchnie!

Rewolucja wnet wybuchnie?!

— Gorzej jest! O, stokroć gorzej!

Nic nam, nic już nie pomoże! —  
jęczał Burmistrz...

...i w końcu zdobył się na odwagę i obwieścił wszem i wobec, czym zagroziła ludność:

— Dotknięta wielce i obrażona,  
strasliwym buntem roznamiętniona  
od dzisiaj — wyznam wam to ze zgrozą —  
nie będzie wierszem mówić, lecz prozą!

Radni pobledli. Kilku z nich zemdłało. Groźba była rzeczywiście straszna. Chwiały się fundamenty miasta. Od wieków w Poezjogrodzie mówiło się tylko wierszem — nawet zamawiając kawę czy kupując dziesięć deka baleronu. I teraz niewypowiedziany urok tego miasta poetów, powabnej mowy, wierszy, uczuć i fantazji — ten nie wypowie dziany urok miał się rozwiać bezpowrotnie, i we wszystkich domach, na wszystkich ulicach miał się rozlegać nieznośny dźwięk prozy!

Jaką to niesprawiedliwość popełniono, że pchnęła ona ludność do tak desperackiej groźby? Burmistrz oraz Radni zbadali sprawę i jednomyślnie powzięli decyzję. Burmistrz stanął w oknie, by ją oznajmić zebranym.

— Obywatele! Wasze wzburzenie  
słuszne jest, przeto, co trzeba, zmienię.

Na wasy mego przysięgam kota,  
że winnych skażę — zwycięży cnota!

Tłum wydal radosny okrzyk. Wygrali. No, bo rzeczywiście — jak uznali jednogłośnie Radni — spotkała ich niesłychana obraza. W Wielkiej Drukarni



wywieszono następujące obwieszczenie:

„Podaje się do wiadomości, że począwszy od przyszłego miesiąca, czyli od 1 maja, pobory pracowników podwyższone będą o dwadzieścia procent”.

Co za zniewaga! Dla pracowników było to jak smagnięcie biczem. Odważono się zwrócić do nich w ten sposób! Oburzeni wołali: — Tak nas zawiadamiają?! Za kogo nas mają?! — Wszystko można było znieść, tylko nie to! Raczej strajk i walka aż do zwycięstwa! Będą więc walczyć używając tej samej broni, to znaczy tego samego języka: — Mówić do nas prozą?! Cóż to za herezja! Niechże wobec tego strajkuje poezja!

Szczyściem Burmistrz i Radni miejscy, znani, subtelni poeci, natychmiast wzięli ich w obronę. Dyrektor Wielkiej Drukarni musiał ponownie napisać obwieszczenie i robotnicy wrócili do pracy dopiero, gdy przy wejściu pojawiło się to nowe zawiadomienie, ozdobione pięknymi ornamentami, przedstawiającymi

kwiaty:

„Maj radosny słodkimi różami szeleści,  
wypisuje na płatkach róż dobre wieści:  
że podnosi się pensje wszystkim pracownikom,  
zecerom i malarzom, także kierownikom.

O 20 procent podnosi się stopa.

Zasłużyli. Niech żyją! Maj to nie listopad!”

Prawo zostało uszanowane w wierszach i rymach i mieszkańcy Poezjogrodu w dalszym ciągu mówili mową wiążaną, uprzejmi i delikatni jak zawsze.

Lecz wkrótce potem zdarzyło się coś nowego. Tym razem z małą dziewczynką — Anią.

## Rymowanki małej Anki

Ania była jakaś dziwna już od wczesnego dzieciństwa, już od chwili, kiedy zaczęła wymawiać pierwsze słowa. Matka, pochylona nad kołyską, mówiła do niej:

— Wiesz, kto ja jestem? Mateczka.

A tyś skarb — moja córka!

No, powiedz: Mama... Mateczka...

Ania jednak plotła:

— Kurka!

— Dlaczego kurka? Mateczka!

Tak, jak ty jesteś Aneczka.

Ania znów na to:

— Bzdureczka!

Do ojca Anka nie mówiła „tato”, tylko „lato”. Raz, gdy była głodna, zamiast

zawołać: — Bułeczki! — zawołała: — Wódeczki!

Rodzice byli poważnie zaniepokojeni. Ledwie to od ziemi odrosło, a już takie zuchwałe! Już ma apetyt na „wódeczkę”! Oczywiście, jak wszyscy mieszkańcy Poezjogrodu, mówili wierszem i narzekali rymami:

— To jest doprawdy sprawa niemiła.

Z wadą wrodzoną się urodziła.

Lecz może jednak z upływem lat  
pozbędzie tych się niemiłych wad.

Anka jednak nie zmieniała się nic a nic. Zaledwie przeszła od sylabizowania wyrazów do układania zdań, mówiła:

— Daj mi, mateczko, piórko papuzie,  
a potem czule pocałuj w nóżkę.

Czy przewróciło się jej w głowie? Chciała, żeby ją całować po nogach, jak gdyby była królową!

Tymczasem Anka wcale nie była zarozumiała i nigdy w ogóle nie myślała o „wódeczce”. Widocznie — jak słusznie zauważyli to mieszkańcy Poezjogrodu — miała rzeczywiście wrodzoną wadę. Jeden rodzi się z zezem, inny z platfusem, ona natomiast urodziła się ze skłonnością do tych pomylnych rymów. Wiedziała, co chce powiedzieć. Dajmy na to: „bułeczka” — a tymczasem wymawiała inne słowo, które rymowało się z bułeczką, i stąd wzięła się „wódeczka”. Wiedziała, że tato to tato, lecz mówiła „lato”. Wiedziała, że mateczka to mateczka, ale mówiła „bzdureczka”. I chciała, żeby pocałować ją w buzię, a nie w nóżkę. Ponieważ jednak nikt nie dociekał przyczyn tego zachowania, robiła wrażenie zarozumiałej i kapryśnej. Tym bardziej że przecież działo się to w Poezjogrodzie, gdzie wszyscy mieli poezję nie tylko na ustach, ale i w sercu.

Im starsza stawała się Anka, tym bardziej martwili się nią rodzice. Gdy była jeszcze małeńka, na Nowy Rok ułożyła dla nich wierszyk, napisała go i wsunęła ojcu pod serwetkę. Lecz cóż tato przeczytał, gdy znalazł ten wierszyk?

„Na Nowy Rok

— nie myślcie, że znów plotę! —

zachowam, ręczę wam,

grzeczności psotę.”

Jak zwykle pomyliła rymy pisząc „psotę” zamiast „cnotę”. Rodzice oczywiście rozgniewali się.

— Nasza córka uśmiechnięta

stara się nam popsuć święta.

Rok okrągły irytacji.

Marsz do łóżka bez kolacji!

Z powodu tego mylenia rymów spotykały ją wciąż kary. Biedaczka nie uświadamiała jeszcze sobie swojej własnej wady — i rozpaczała. Przecież bardzo kochała rodziców, a oni ciągle ją karali. Pewnego dnia ułożyła dwuwiersz dla ojca i matki, żeby wyrazić swoją miłość. Stała przed nimi i wyrecytowała:

— Jedno w mym sercu pragnienie gości:  
chcę wam dostarczyć wiele przykrości!

Oczywiście miała na myśli — „radości”. Ale możemy sobie wyobrazić rodziców! Za karę została pozbawiona wszelkich rozrywek na cały miesiąc.

Tak oto Ance szło wszystko na opak. Nie tylko w domu. W szkole również wciąż były zmartwienia, wciąż mówiła jedno zamiast drugiego, czyli wciąż myliła rymy. Rodzice irytowali się coraz bardziej, a Anka, chociaż pojęła w końcu, co przyczynia jej tyle kłopotów, w dalszym ciągu plątała się w swoich rymowanekach.

— Wciąż mówię sobie: — Rym dobrze wymów!

Okropność! Brak mi właściwych dymów.

Jakie „dymy”? — wołali rodzice. — Co ma piernik do wiatraka?! — I znowu posypał się na Ankę grad wierszy rymujących się na „iwa”: niemożliwa, niegodziwa, leniwa, straszliwa...

Z koleżankami i kolegami też miała nieustanne nieporozumienia. Koleżanki proponowały jej grzecznie:

— Zapraszamy cię serdecznie  
na zabawę. Przyjdź koniecznie!

— Przyjdę, przyjdę! Jutro z rana!

W grudniu, na Świętego Jana!

One oczywiście czuły się tym obrażone i nawet nie podawały jej adresu, gdzie zabawa miała się odbyć.

Gdy spotkała koleżankę w nowej sukience, od razu miała najszczerzą ochotę powiedzieć jej, że jest elegancka i wygląda uroczo, lecz bezwiednie myliła rymy.

— Jaka śliczna sukieneczka!

Wiesz? Wyglądasz w niej jak beczka!

W krótkim czasie wszyscy zaczęli jej unikać, a ona, biedaczka, bardzo z tego powodu cierpiała. W dodatku rodzice jakoś nie mogli sobie z nią dać rady. Pewnego dnia mama, słuchając jej rymowanek, wpadła po prostu w rozpacz:

— Za cóż ta kara niezasłużona?!

Och! Nasza córka jest pomyłona!

Anka wybuchnęła płaczem. Słowo „pomyłona” brzęczało jej nieznośnie w uszach. Nie była pomyłona! Skąd?! Serce jej było pełne miłości dla rodziców i dla przyjaciół, dla wszystkich. Dlaczego nikt jej nie rozumiał?

Pewna kobieta widząc ją płaczącą, zapytała:

— Co cię tak dręczy? Powiedz, dziewczyno  
że łzy po twojej twarzyczce płyną?

Anka szlochając odpowiedziała:

— Zły rym mi psuje wiersz i zwrotkę

i często zmienia zwrotkę w kotkę,

Niczym się pięknym nie szczycę....

Mylę się, choć sylaby ryczę!

I tym razem oczywiście chciała powiedzieć „sylaby liczę”, a powiedziało jej się „ryczę”. Kobieta, myśląc, że Anka majaczy, zaprowadziła ją do doktora. Doktor zbadał ją i oglądając gardło, kazał jej powiedzieć: A-a-a... Anka usłuchała, ale powiedziała to po swojemu: Kra — kra — kra... Doktor oczywiście pomyślał, że kpi sobie z niego. Anka nie tylko nie miała takiego zamiaru, ale miała nadzieję, że doktor ją wyleczy, więc powiedziała :

— Z tym językiem coś straszego!

Jest po prostu do niczego!

Stąd niejeden ciężki zarzut...

Wylecz mnie, weterynarzu!

Doktor wpadł w szewską pasję. Tego już za wiele! Pozwala sobie nazywać weterynarzem takiego słynnego, jak on, lekarza! Jej rymy były więcej niż przekorne. Były obraźliwe. A w Poezjogrodzie, ojczyźnie miłej dla ucha mowy, było to winą niewybaczalną. Doktor zawołał policjanta, aby odprowadził Ankę do domu i namówił rodziców, by oddali ją do Poprawczego Domu Poezji.



Po drodze Anka starała się wyjaśnić policjantowi, co się jej przydarzyło:

— Powiedziałam doktorowi —

moja wielka mina —

żeby mi coś pomógł, zrobił...

W czym tkwi zła przyczyna?



Policjant aż podskoczył. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Ania mówiąc o „minie” ma na myśli „winę”, a nie bombę. Przekonany, że ma do czynienia z groźną przestępczynią, założył jej kajdanki i zamiast do domu zaprowadził ją do więzienia.

W celi płakała Anka całymi godzinami. Nikt jej nie rozumiał, nikt jej naprawdę nie kochał, i teraz została zamknięta w tych zimnych murach. Serce jej się ścisnęło z wielkiej rozpacz. Gdy tylko pozwolono przesłać wiadomość do rodziców, napisała:

— Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu  
od trzech godzin siedzę sobie w więzieniu.

Zaduch tu życia mi nie umiła,  
więc mi przyślijcie, proszę, rozpylacz.

Przeczytawszy ten liścik, rodzice byli przekonani, że Ania nabrała także okrutnych instynktów, że prosi o karabin maszynowy, i oczywiście nie posłali jej żadnego „rozpylacza”. Być może pomyśleli, że nieznośna Anka w więzieniu się poprawi. W każdym razie uznali, że nie ma się czym martwić, bo przecież sama napisała, że przebywa w więzieniu ku swemu wielkiemu zadowoleniu.

Tak więc nie wiedzieli nawet, że wytoczono jej proces. Przewodniczący Sądu, słynny poeta o pięknych, niebieskich oczach, powiedział:

— Teraz oskarżona powiedzieć powinna,  
czy winna jest, czy niewinna.

Ania położyła rękę na sercu i oświadczyła uroczyście:

— Ani troszeczkę! Nic! Wcale!

Przysięgam, czcigodny Cymbale!

Oczywiście chciała powiedzieć „Trybunale”. Na sali wszyscy zamarli.  
Prokurator skoczył na równe nogi.

— Obraza Sądu! Prawdy! Nieba!

Na śmierć ją zaraz skazać trzeba!

Kto obraził Sąd? Anka przecież z szacunkiem zwróciła się do „czcigodnego Trybunału”. Zawołała:

— W moim sercu nie ma złościwości...

Domagam się tylko smakowitości!

Nikogo nie obrażam, tylko się żalę,

bo ufam ci, Święty Cymbale...

Prokurator wpadł po prostu w furję. Jego wystąpienie było bezlitosne:

— Jestem zawsze pobłażliwy.

Dziś — nie! Chociaż włos mam siwy!

Oskarżonej się należy

kara w lochu albo w wieży —

za bezczelne zachowanie,

upór i podskakiwanie,

za postawę niespołeczną,

arogancką i niegrzeczną,

za „rozpylacz” i armaty...

Dość. Ja tylko skończę na tym:

wszystko ciężka to herezja,

bo gdzie, pytam, w tym poezja?

Oto wniosek oskarżenia:

Sto lat oraz rok więzienia!

Nieszczęsnej Ani pociemniało w oczach. Sto jeden lat więzienia! Przecież była niewinna! Zaczęła się tłumaczyć, lecz pomyłki w rymach pogrzyły ją do reszty:

— Nie przyjmuję tego

do wiadomości wcale,

Najwyższy

Trybunale!

Na co mi więzienie?

Proszę

o powieszenie!

Co ona plotła? Sama to sobie uświadomiła, lecz winne były temu zdradzieckie rymy. Nie chciała „powieszenia”, tylko „uniewinnienia” !

— Nie powieszenia

i nie więzienia,

chcę rozstrzelania!

## Bombardowania!

Doprowadzona do rozpaczyc swoimi przejęzyczeniami, plątała się coraz bardziej i wszyscy spoglądali na nią z pogardą. Prokurator triumfował. Oskarżona była całkowicie pozbawiona zmysłu poetyckiego, a było to największym przestępstwem w Poezjogrodzie.

Tymczasem Przewodniczący Sądu słuchał wszystkiego bardzo uważnie. Jako wielki poeta miał wyjątkowo wrażliwe ucho na wiersz i rymy i ważył każde słowo tej dziwnej oskarżonej, która płacząc, plątała się coraz bardziej:



— Nieporozumienie?  
Przepadło  
uniewinnienie...  
Zgubiłam  
rurkę z kremem,  
paprykę

i chryzantemę!  
Nie jestem wcale kotką  
ani malutką słodką,  
co chodzi  
bosą nóżką...  
Do licha z tymi rymami,  
szczytami,  
dolinami,  
ptakami,  
obłokami,  
sądami,  
wyrokami...

Spoglądając na Ankę swymi dużymi, błękitnymi oczami, Przewodniczący przerwał jej nagle:

— No tak. To nie bajeczka.

Niech oskarżona  
teraz zamknie usteczka.

Ania umilkła i zobaczyła przez łzy, że Przewodniczący wstaje, aby ogłosić wyrok: „sto jeden lat uniewinnienia”. Gdzie tam uniewinnienia! Dadzą jej sto jeden lat więzienia o ścianach z kamienia!

W głuchoj ciszy, jaka zapanowała na sali, zabrzmiały uroczyste słowa Przewodniczącego:

— Niełatwa to sprawa. Jest winna. To fakt.

Czy niewybaczalna? Popatrzmy do akt.

Niech „Kodeks Poezji” rozstrzygnie w wahaniu.

Zajrzyjmy. On powie, co zrobić z tą Anią.

„O ja nieszczęsna! — pomyślała Anka.— Mało jeszcze oskarżeń Cymbałowi... To znaczy Trybunałowi...”

Przewodniczący po zajrzeniu do „Kodeksu Poetyckiego” ciągnął dalej:

— Wyświetlić rzecz jest to dla świata okazja.

Tak. Proszę: „W poezji jest ważna fantazja”.

Więc inne dowody, fortele,  
rzecz jasna, nie znaczą tu wiele.

Ja sztukę — gdy jestem w rozterce —  
nie uchem oceniam, lecz sercem.

Dziś także. Więc twierdzę: ta oto  
poezję ma w sercu jak złoto  
i tylko nie może czasami  
uporać się, biedna, z rymami.

My taką zasadę głosimy:

Poezja jest ważna, nie rymy!

Ponadto dla sztuki i słowa  
jest u nas taryfa ulgowa,



dlatego więc oskarżona  
z więzienia wnet ma być zwolniona  
i rymy Trybunał wybacza jej w pełni  
te dawne, obecne i które popełni.  
Ten wyrok od zaraz już obowiązuje  
rodziców, przyjaciół i tych, którzy dwóje  
za język niesforny stawiali jej w szkole,  
niebaczni na biednej dziewczynki niedolę.  
Jest wolna. Zła powód w wymowy usterce.  
Rzecz pojmie, kto ceni fantazję i serce.

Tylko wielki poeta mógł wyczuć dramat Anki. Wszyscy obecni, nie wyłączając Prokuratora, oblali się pąsem. Byli o krok od popełnienia wielkiej pomyłki, co gorsza, pomyłki spowodowanej brakiem intuicji poetyckiej.

Anka poczuła się jak odrodzona. Wielki człowiek ten Przewodniczący! Co więcej: Wielki Poeta! Wzruszona, przesłała mu ręką pocałunek. Co za szczęście być nareszcie zrozumianą! Odezwała się słowami, płynącymi prosto z serca:

— Być zrozumianą! Co to za bzdura!  
Z wielkiej radości cierpnie mi skóra!  
Przysięgam święcie, mój Trybunale,  
że grzeczna nigdy nie będę. Wcale!

Chociaż Anka naplotła po swoim, tym razem nikt się nie oburzył i nikt się nie śmiał. Dzięki Przewodniczącemu Sądu wszyscy zrozumieli, co chciała powiedzieć: że będzie zawsze najlepszą dziewczynką.

Od tego dnia Anka nie była już nieszczęśliwa. Rodzice zrozumieli, jak bardzo ich kocha, a oni także kochali ją jeszcze bardziej, aby wynagrodzić jej wszystko, co przecierpiała.

Anka-Rymowanka, jak nazywano ją od tej pory, miała bardzo wielu przyjaciół. Wszyscy nauczyli się cenić jej właściwość poetycką, szukali jej towarzystwa i zapraszali ją na zabawy. Wszyscy bardzo ją kochali, i to potwierdziło starą prawdę Poezjogrodu, że ważniejsze jest mieć poezję w sercu niż na ustach.

# **POLICJOPOLIS**





## Miasto policjantów

Z „Podręcznika wzorowego policjanta” Policjopolis:

Obywatele dzielą się na:

uwięzionych (oskarżonych i skazanych na karę więzienia)  
 ukrywających się (oskarżonych i jeszcze nie aresztowanych)  
 podejrzanych (wszystkich przebywających jeszcze na wolności)  
 recydywistów (oskarżonych, skazanych na karę więzienia i wypuszczonych na wolność do czasu ponownego aresztowania).

Aby obywatel mógł przejść z tymczasowego stanu „podejznanego” do trwałego stanu „uwięzionego”, należy możliwie jak najszybciej postawić go w stan oskarżenia i wymierzyć mu przykładną karę. W celu zdobycia potrzebnych do tego dowodów wzorowy policjant musi:

podśluchiwać jego rozmowy telefoniczne

cenzurować jego korespondencję

śledzić go

sprawdzać przy pomocy szpiclów, skarżypytów oraz jasnowidzów, co czyta, co mówi, co myśli i co mu się śni.

Jeżeli, pomimo przedsięwzięcia tych wszystkich niezbędnych środków ostrożności, nie wynajdzie się żadnych podstaw do oskarżenia, oznacza to, że wchodzi w grę wyjątkowo przebiegły przestępca. W takim wypadku nie wolno się wahać: należy sporządzić fałszywe oskarżenie i aresztować go. Poddany energicznemu śledztwu trzeciego stopnia, przyzna się do wszystkiego, czego zażądamy.

Specjalna czujność wskazana jest w stosunku do dzieci: przestępca, jak wiadomo, przejawia złe skłonności od niemowlęcia.

Aresztować natychmiast każdego:

Kto depta trawniki i grządki (do tego zadania przeznaczone są specjalne oddziały łapaczy dzieci)

kto, uchylając się od obowiązku obywatelskiego, nie chce być skarżypytą

kto wykazuje nadmiar inteligencji: inteligencja jest zawsze podejrzana i niebezpieczna (wprowadzić do szkół powszechnych zaufanych agentów tajnych przebranych za uczniów)

kto ubiera się ekscentrycznie i nie obcina włosów (każdy włos dłuższy niż 5 centymetrów jest dowodem przestępczości wystarczającym do aresztowania)

kto używa tendencyjnych słów „wolność”, „sprawiedliwość”, „uf!” i tym podobnych

kto, bawiąc się w złodziei i policjantów, występuje w roli złodzieja (wyraźna skłonność przestępcza).

Uwaga: są to wskazówki ogólne. Każdy policjant oczywiście może aresztować, kogo chce.

## Agent X-3 w pościgu za wyżej wymienionym

Co mówi „Podręcznik wzorowego policjanta”? „Wszyscy, nawet twój ojciec i twoja matka, są podejrzani”, i agent x-3 (nazwisko Gaetano Loiacono) pilnował, śledził i szpiegował wszystkich: lokatorów, sąsiadów, przechodniów, dzieci wychodzące ze szkoły, kobiety robiące zakupy, psy bez smyczy. Gorliwy i niezmordowany zdołał nawet wykryć i oddać pod sąd chłopaczka, który nagryzmołił na klatce schodowej w jego domu „osioł, kto to czyta”.

„Wszyscy są podejrzani, wszyscy!” I Gaetano Loiacono pilnował, śledził i szpiegował wszystkich. A jednak gryzły go wyrzuty sumienia. Wciąż trapiła go natrętna myśl: a jeżeli, pomimo całej gorliwości, przeoczył kogoś, kogo należało pilnować, śledzić i szpiegować? Kogoś „podejznanego”, kto mógł dzięki temu popełnić bezkarnie jakieś przestępstwo?

Ta myśl prześladowała go we dnie i w nocy, nie dawała mu spokoju. Lecz pewnego ranka, kiedy się golił, doznał nagłego olśnienia.

— Mam! Nie na darmo czułem, że ktoś się wymknął spod mojej kontroli!

Kto taki?

— Kto ? On! — zawołał triumfalnie wskazując na swoje odbicie w lustrze. Czy człowiek ten nie jest może obywatelem miasta Policjopolis? Jest. A jednak nikt, nawet on, agent x-3, nigdy nie pilnował i nie śledził tego Gaetana Loiacono, który spoglądał na niego z lustra.

Przygotował więc natychmiast akta nowej sprawy i stwierdził, że ma do czynienia z osobnikiem wysoce podejrzanym, obciążonym jak najgorszą przeszłością. Pamiętał bowiem aż za dobrze, że Gaetano Loiacono jako dziecko wykradał co najmniej sześciokrotnie słodycze z kredensu w stołowym pokoju. Co gorzej, zwędził szkolnemu koledze trzy malowanki i dwie szklane kulki.

Agent x-3 pękał z dumy, że wpadł na właściwy trop. Wyżej wymieniony Gaetano Loiacono wykazywał od najmłodszych lat wyraźne skłonności do kradzieży. Nie będzie trudno przyłapać na gorącym uczynku tego w najwyższym stopniu podejznanego obywatela.

Począwszy od tego dnia agent x-3 zaczął pilnować, śledzić i szpiegować samego siebie. Nagrywał na taśmę wszystkie swoje telefony, cenzurował każdy otrzymany list, spisywał codziennie wszystkie swoje spotkania i przeprowadzone z ludźmi rozmowy. I oczywiście (było to elementarną zasadą jego zawodu) nie odstępował się ani na krok. Na szczęście nie przeszkadzało mu to w pełnieniu jego obowiązków służbowych: Gaetano Loiacono siedł zawsze tam gdzie i on.

— Dokąd on się dziś wybierze? — zastanawiał się agent x-3. — Założę się, że pójdzie do kina, do kina „Royal”.

I Gaetano Loiacono siedł właśnie tam, do kina „Royal”.

Wieczorem zapisywał wszystko w swoim notesie:

„Dziś wyżej wzmiankowany Gaetano Loiacono wyszedł o 18.05, uklonił się dozorczyńni z mojego domu i udał się do kina »Royal«, gdzie podczas przerwy kupił sobie lody. Potem wrócił pieszo do domu. Po drodze spotkał policjanta (którego ja też znam) i prowadził z nim przez dobrych kilka minut przyjacielską rozmowę. (Uwaga: czyżby i ten policjant był podejrzany? A nuż prowadzi podwójną grę i jest współnikiem wyżej wymienionego? Nie od rzeczy będzie to wybadać.)”

Dla uzupełnienia swoich informacji poszedł do centralnego Archiwum Policji i odszukał w kartotece akta Gaetana Loiacono. Zrobił sensacyjne odkrycie: w przeciwieństwie do wszystkich innych nie przybito w nich stempelka „podejrzany”.

— Diabelnie sprytny facet! — powiedział sobie agent x-3.— Postarał się nawet o to, żeby figurować w kartotece bez pieczętka „podejrzany”. Ale właśnie dlatego można podejrzewać, że jest do wszystkiego zdolny

W kartotece były odciski palców i znaki szczególne: „platfus”, oraz cechy charakterystyczne: „wyjątkowo tępy”.

„Wiedziałem, że jestem na właściwym tropie — pomyślał sobie agent x-3. — Tępotą prowadzi do przestępczości, tego też nas uczą w Policyjnej Szkole”.

Sylwetka wyżej wymienionego zarysowywała się jako coraz bardziej podejrzana. Wieczorem, w domu, agent x-3 przesłuchiwał z taśmy swoje rozmowy telefoniczne, wertował swoje zapiski w notesie. Lecz zachowanie wyżej wymienionego wciąż pozostawało bez zarzutu: ani jednego błędnego posunięcia, fałszywego kroku.

— Jesteś kuty na cztery nogi — mówił sobie w duchu agent x-3 — ale mnie nie przechytrzysz. Tylko prawdziwy przestępca potrafi udawać takie niewiniątko. To jasne jak słońce, że usiłujesz rozwiązać wszelkie podejrzenia, bo knujesz coś złego. Ale oskarża cię twoja przeszłość: zapewniam cię, że przy pierwszej sztuczce pójdziesz za kratki.

Gdy pewnego dnia agent x-3 przeczytał okólnik, wzdrygnął się cały; odezwał się w nim szósty zmysł, który jest dzwonkiem alarmowym każdego policjanta Policjopolis.

Okólnik, przeznaczony wyłącznie dla agentów, głosił:

„Kradzież w sklepie jubilerskim »Perła«. W nocy nieznanymi sprawcami zrabowano biżuterię wartości sześciu milionów, nie pozostawiając odcisków palców ani żadnych innych śladów. Kradzież została popełniona dzisiejszej nocy między godziną 23.30 i 1.30”.

Przerzucając gorączkowo kartki swojego notesu, agent x-3 wydał zwycięski okrzyk: jego szósty zmysł nie zawiódł go. Na stroniczce pod datą 3 marca zapisane było czarne na białym:

„Dziś wyżej wymieniony Gaetano Loiacono zatrzymał się przed wystawą sklepu jubilerskiego »Perła« i, podziwiając biżuterię, pomyślał sobie: Co za wspaniałości! Gdybym ja mógł mieć takie klejnoty! Po czym z na pozór nonszalancką miną oddalił się pogwizdując”.

3 marca, czyli niespełna przed miesiącem, wyżej wymieniony znajdował się na miejscu, w którym popełniono kradzież! Po co? Do licha, po to, aby obmyślić plan włamania. I wyznał te swoje łotrowskie zamierzenia mówiąc w duchu: „Gdybym ja mógł mieć takie klejnoty!”

„O nie, nie pozostanie nieznanym sprawcą ten złodziej! — pomyślał agent x-3. — Nie wolno mi jednak działać nazbyt pochopnie. Muszę mieć w rękę dowody, nim go wpakuję do więzienia. Na początek sprawdzimy, co robił w tym czasie, kiedy została popełniona kradzież”.

Zajrzał do notesu.

„Tego wieczora wyżej wzmiankowany Gaetano Loiacono wrócił do domu o godzinie 22.20, wypił szklankę ciepłego mleka i położył się spać o 22.30. Obudził się o siódmej rano...”

Agent x-3 przeszył dreszcz przerażenia: skoro wyżej wymieniony spał, nie mógł ograbić jubilerskiego sklepu! Wszystkie jego podejrzenia obróciły się wniwecz. Czy to możliwe, aby zawiódł go szósty zmysł?

— Banialuki! — zawołał. — To, co chce w nas wyżej wymieniony wmówić, to jest jego alibi, by odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Ale czy potrafi dowieść, że w nocy nie ruszał się z domu i spał?

Niestety, tej nocy nie śledził go: rzeczywiście agent x-3 spał nieprzerwanym snem od godziny 22.30 do godziny 7.00.

— Rozważmy wszystko spokojnie — powiedział sobie. — Mamy do czynienia z wytrawnym przestępcą: kto wie, czy nie postarał się o godnych zaufania świadków, którzy potwierdzą, że tej nocy spał i nie opuszczał domu?

Ponownie zajrzał do notesu, wyteżył pamięć. Gdy wyżej wymieniony wrócił o 22.20, w dyżurce nie było już dozorczyń. Poza tym mieszkał sam. Nikt więc nie mógł poświadczyć, że nie wymknął się cichaczem z domu przed 22.30, by dokonać kradzieży, wykorzystując tę okoliczność, że agent x-3 nie miał go na oku (co z jego strony — niepodobna tego przemilczeć — było niewybaczalnym brakiem czujności).

Słowem: alibi wyżej wymienionego było chwiejne. Nie podważało podejrzeń, a nawet utwierdzało je. Teraz jednak należało zastawić na niego sidła tak umiejętnie, aby się w nie zaplątał.

Podwoił czujność, śledził każdy ruch Gaetana Loiacono, każde jego słowo, każdą myśl. Szybko dokonał ważnego odkrycia, że wyżej wymieniony wciąż myślał o tej kradzieży i że przerodziło się to u niego niemal w obsesję. Co więcej, wystarczała wzmianka o sklepie jubilerskim „Perła”, a wzdrygał się, jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Nie miał więc czystego sumienia.

Ale łup? Agent x-3 skrupulatnie zrewidował mieszkanie Gaetana Loiacono i nie znalazł nic. Diabli wiedzą, gdzie ten spryciarz ukrył klejnoty. Przyłapał go natomiast w chwili, kiedy badawczym wzrokiem obserwował z daleka sklep jubilerski.

„Zawsze się tak dzieje — pomyślał — tego też nas uczą w Szkole Policyjnej:



przestępca powraca nieuchronnie na miejsce zbrodni. Teraz wszystko jest jasne, pozostaje mi jeszcze ostatnia formalność, przesłuchanie. Dziś wieczorem wymaguję go.

I oto, pośrodku lustra, ma przed sobą wyżej wymienionego. Jak dobrze go znał! Ta twarz o głupkowskim wyrazie nie budziła zaufania. A on, bez przechwałek, potrafił rozpoznać twarz kryminalisty na pierwszy rzut oka. Lecz należało rozpocząć przesłuchanie.

— Gaetanie Loiacono, uprzedzam cię — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu — że agent x-3 wie wszystko, a zatem zrobisz najlepiej przyznając się do winy. Co robiłeś tej nocy, kiedy dokonano kradzieży w sklepie jubilerskim „Perła”?

Dobiegła go natychmiast odpowiedź oskarżonego :

— Ja? Spałem.

Mina niewiniątka! Udawał, że nie wie o bożym świecie.

— Spałeś, biedactwo... Ty kłamco! Czy masz świadków, którzy mogą to potwierdzić? Nie, nie masz, wiem o tym.

— Przysięgam, że spałem. Zasnąłem o 22.30 i obudziłem się o...

— ...o 7.00 — powiedział sarkastycznie agent x-3.— To prawda, o 7.00 jeszcze leżałeś w łóżku, właśnie wtedy zacząłem cię śledzić. Ale jak możesz udowodnić, że po 22.30 nie wyszedłeś, aby ograbić sklep jubilerski?

— Pan powinien to wiedzieć najlepiej: chodzi pan za mną krok w krok...

Zdradził się!

— A skąd ty możesz o tym wiedzieć? — krzyknął agent x-3. — Nikt nigdy nie zauważył, że jest pilnowany, śledzony, szpiegowany przeze mnie. Skoro wiesz, że cię śledziłem, to znaczy, że ty śledziłeś mnie, aby odwrócić od siebie podejrzania albo... tak, aby mnie zgładzić, gdybym odkrył jakieś twoje łotrństwo!

Tamten w lustrze miał skonsternowaną minę: należało wykorzystać tę chwilę zakłopotania.

— Przyznaj się! — wrzasnął agent x-3. — Od dawna miałeś chrapkę na te klejnoty. Może zaprzeczysz, że 3 marca, przed wystawą sklepu jubilerskiego „Perła”, pomyślałeś sobie: „Gdybym ja mógł mieć takie klejnoty” ?

Przyłapany na gorącym uczynku Gaetano Loiacono zbladł.

— To prawda, pomyślałem tak... — wybełkotał, lecz naraz się opanował — ale kto tak nie myśli? Na pewno każdy, kto zatrzymuje się przed wystawą...

— Istotnie, wszyscy obywatele Policjopolis są podejrzani, wiem o tym dobrze. Ale ciebie, poza tym zasadniczym podejrzaniem, obciążają jeszcze inne poważne poszlaki. Po pierwsze: wrodzona skłonność do kradzieży. Kradłeś jako dziecko! Pamiętasz zamknięte w kredensie słodycze? A trzy malowanki i dwie kulki skradzione w drugiej klasie w szkole powszechnej? Czy odważysz się zaprzeczyć? Po drugie: nie masz alibi. Po trzecie: od czasu popełnienia kradzieży nie schodzi ci z myśli sklep jubilerski. Po czwarte: śledziłeś mnie... A teraz przyznajesz się czy nie?



— Do czego się mam przyznać? Przysięgam panu, że jestem niewinny. Spałem tej nocy!

Ten hipokryta zaciął się w uporze. Tym gorzej dla niego, sam tego chciał. Już na pierwszej lekcji w Szkole Policyjnej uczono, że przy przesłuchaniu trzeciego stopnia delikwent zawsze przyznaje się do winy.

Wziął lampę rzucającą silne światło i uniósł ją na wysokość tej obmierzłej twarzy spoglądającej na niego z lustra: była sina, była to ogłupiała twarz zatwardziałego przestępcy.

— Pytam po raz ostatni, przyznajesz się do winy? Ach, nie? A ja ci mówię, że zaraz wszystko wyśpiewasz! — Tu wymierzył siarczysty policzek.

— Oj ej ej! Boli! — Jeden policzek w lustrze stał się czerwony jak jabłko.

— Mów: gdzie ukryłeś łup? — Jeszcze jeden cios: drugi policzek też stał się czerwony jak jabłko. — Mów!

— Litości, nic nie wiem, jestem niewinny, przysięgam!



Agent x-3 był wściekły: czyżby wyżej wymieniony nie miał jeszcze dość? A on przecież miał ciężką rękę i wiedział, jak to boli. Trudno, nie było innej rady, jak bić dalej. Zaaplikował mu nową porcję tęgich policzków. Twarz w lustrze stawała się coraz bardziej czerwona i spuchnięta.

— Mów! — agent x-3 wymierzał tak silne ciosy, że trudno było wytrzymać.  
— Przyznaj się! — dalej padały razy, aż w końcu badany się załamał.

— Wystarczy! Nie zniosę tego dłużej, przyznaję się! — wyżej wymieniony, z twarzą napęczniałą jak arbuza, poddał się wreszcie, wyznał, że on jest złodziejem!  
Agent x-3 pobiegł triumfalnie do Komisariatu.

— Panie Komisarzu! — zawołał. — Znalazłem sprawcę kradzieży w jubilerskim sklepie: to Gaetano Loiacono.

Dlaczego, zamiast mu pogratulować, Komisarz spojrział na niego podejrzliwie? Widocznie źle zrozumiał, powiedział bowiem:

— To ty okradłeś sklep jubilerski? Nigdy bym cię o to nie podejrzewał.

Czyżby Komisarz postradał zmysły?

— Ja, panie Komisarzu? Ja jestem przecież pana podwładnym, agentem x-3.

Chociaż mam twarz, licho wie, dlaczego spuchniętą, poznaje mnie pan chyba. Powtarzam, że zdemaskowałem złodzieja: idzie o wyżej wymienionego Gaetana Loiacono. — Triumfalnie wręczył mu arkusz papieru. — Po przesłuchaniu trzeciego stopnia przyznał się do winy. Oto podpisany przez niego protokół. Jak pan widzi, nie ma wątpliwości.

Ale Komisarz nawet nie powiedział mu brawo. Zawołał dwóch policjantów, którzy zamiast biec po wyżej wymienionego i aresztować go, jemu założyli kajdanki.

Znalazł się w celi pod kluczem. Stukał do drzwi, nie wypuszczono go jednak, co gorzej, roześmiano mu się w twarz. W jego wyczulonym na podejrzenia mózgu natychmiast błysnęła myśl: a nuż ci dwaj policjanci-strażnicy są współnikami złodzieja klejnotów? Tak, bez cienia wątpliwości: chcąc ratować wyżej wymienionego podstępnie uwięzili agenta x-3.

Szczęściem udało mu się zdobyć pióro i arkusz papieru i zaraz napisał do Komisarza:

„z niewybaczalną lekkomyślnością — pisał między innymi — nie podejrzewałem nigdy tych dwóch policjantów-strażników, lecz teraz wszystko jest jasne. Panie Komisarzu, proszę mnie uwolnić i aresztować natychmiast Gaetana Loiacono oraz dwóch jego współników, którzy osadzili mnie w więzieniu. Pozostaję z szacunkiem, agent x-3”.

Komisarz, o dziwo, nawet mu nie odpisał. Sprawa gmatwała się coraz bardziej, stawała się coraz bardziej podejrzana. Wy tłumaczenie mogło być tylko jedno: spisek zataczał o wiele szersze kręgi, niż można było przypuszczać.

Napisał następny list, tym razem do Nadkomisarza, sprawującego najwyższą władzę w Policjopolis.

„Ekscelencjo, to, co głosi »Podręcznik wzorowego policjanta«, jest święte: trzeba podejrzewać wszystkich. Mam uzasadnione podejrzenie, że kryminaliści wcisnęli się nawet do najwyższych kadr policyjnych. Oto fakty, które potwierdzają moje podejrzenia. Kiedy odkryłem, że niejaki Gaetano Loiacono był sprawcą rabunku w sklepie jubilerskim »Perła«, jego dwaj współnicy — czy ekscelencja da wiarę? — dwaj policjanci uwięzili mnie, aby tamten nie został schwytany. Zwróciłem się wtedy do Pana Komisarza, aby zdemaskować ten spisek, uczyniłem to jednak z niejasnym, ale jak się okazało, słusznym podejrzeniem. Nie myliłem się: teraz mam dowody, że również Pan Komisarz jest zamieszany w tę ohydłą aferę. Nie tylko nie wypuścił mnie z więzienia, ale pozostawił na wolności wyżej wymienionego Gaetana Loiacono i dwóch policjantów, jego współników. Ekscelencjo, proszę przedsięwziąć odpowiednie kroki i zaszczyć mnie odpowiedzią. W przeciwnym razie będę zmuszony uważać, że wszyscy w Policjopolis, powtarzam wszyscy, są podejrzani. Lecz Ekscelencji nie ośmielę się nigdy podejrzewać. Z poważaniem, prawdziwie oddany agent x-3”.

Lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Pozostał więc w więzieniu z najstraszliwszym podejrzeniem, jakie może się zrodzić w głowie funkcjonariusza

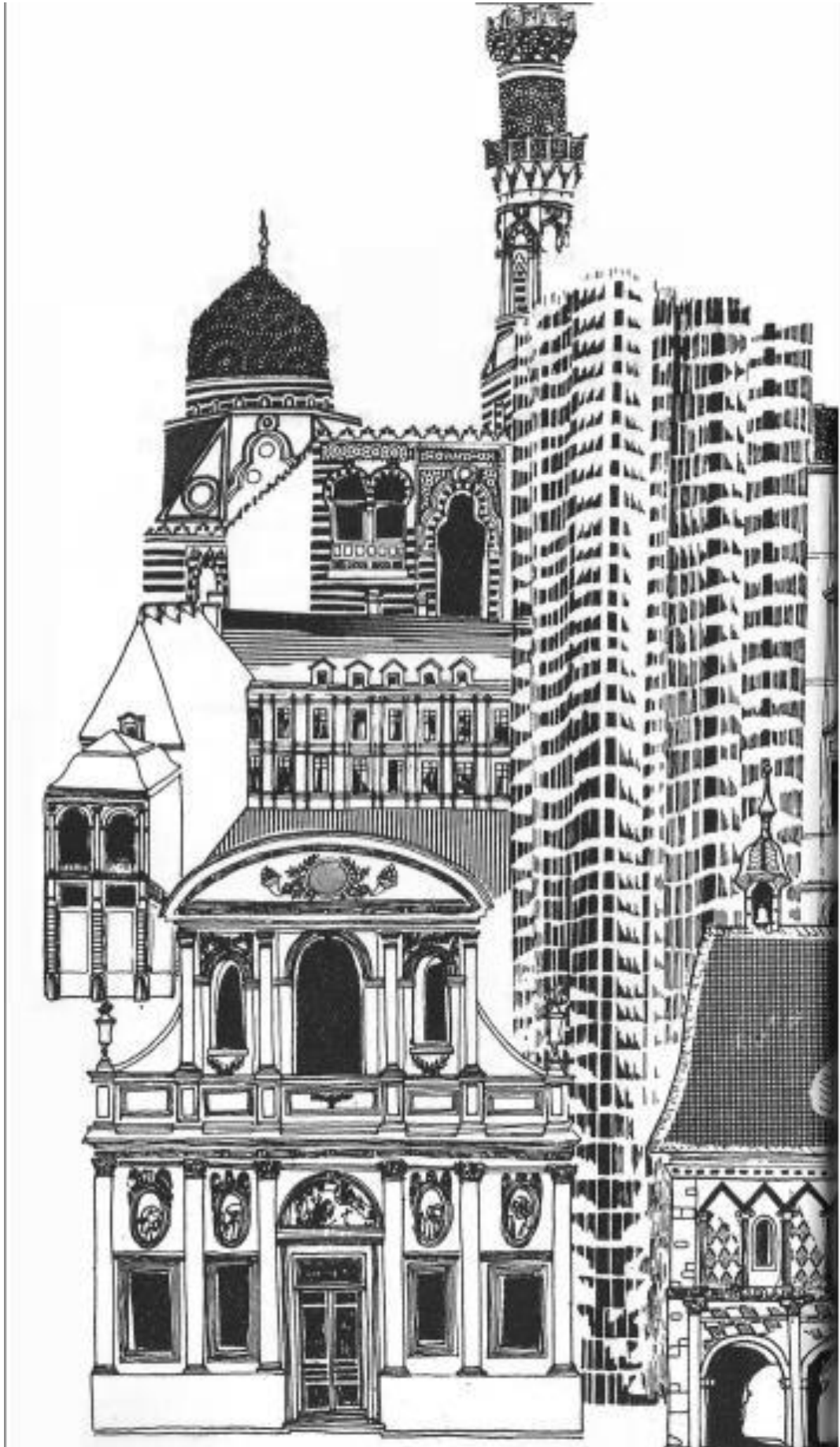
policii w Policjopolis: czyżby nawet Nadkomisarz...?

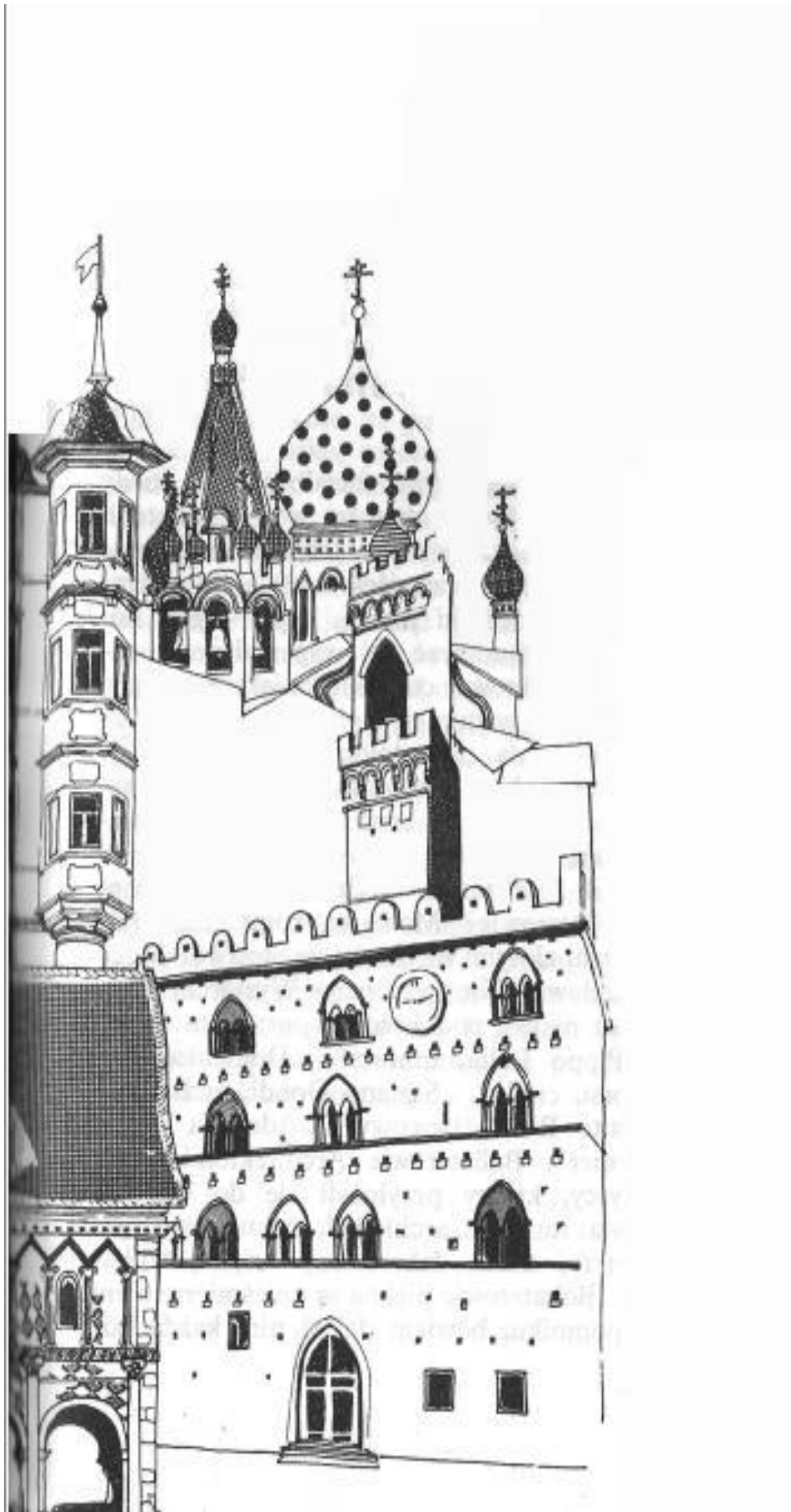
Ale co się właściwie stało? Po prostu Nadkomisarz, przeczytawszy list, powiedział: „A to co za historia? Wygląda na bardzo podejrzaną. Aresztujcie wszystkich wyżej wymienionych”.



”

# **ARCHITEKTONIA**







## Pomnik bohaterów

Na pytanie, czym chciałbyś być, kiedy dorosniesz, każde dziecko w Architektonii roześmieje ci się w twarz. Jak można zadawać takie pytania? Oczywiście będą architektem! Wszystkie pędraki marzą, aby — gdy dorosną — wybudować coś wspaniałego, a nawet zaprojektować coś takiego, jak najbardziej podziwiany w mieście pomnik.

Stoi on na centralnym placu, składa się cały z majolikowych kafli, a na każdym kaflu — i to właśnie budzi ogólny podziw — widnieje portret jakiegoś człowieka. Jest to pomnik bohaterów Architektonii. Kim są ci bohaterowie? Może to kombatanci odznaczeni złotymi medalami za męstwo? Może generałowie? Nic podobnego. Wystarczy przeczytać napisy pod każdym portretem:

„Pippo Lalla, murarz”, „Domenico Bonacorsi, cieśla”, „Stefano Dondi, architekt”, „Dante Risi, dźwigowy”, „Adelaida Netti, inżynier”. Bohaterowie Architektonii to ci wszyscy, którzy przyłożyli się do budowy miasta: murarze, architekci, inżynierowie, geometrzy, cieśle, dekoratorzy wnętrz, tynkarze... Bohaterowie piękna są unieśmiertelnieni na pomniku, bowiem dzięki nim każda budowla w Architektonii jest arcydziełem: domy, mosty, biura, fabryki, pomniki, a nawet szalety, psie budy i klatki w zoologicznym ogrodzie są klejnotami architektury.

W Architektonii modne jest tylko piękno, także i to sprzed 2000 czy 3000 lat. Można więc tam podziwiać wszystkie style; od stylu Egipcjan, Greków aż po gotyk, odrodzenie, barok... Wszystko, co człowiek stworzył i co może stworzyć pięknego, znajduje się tutaj i nie kłóci się z sobą, bowiem suma: piękno + piękno zawsze = piękno.

Nic więc dziwnego, że obywatele Architektonii, mając je wciąż przed oczami, są ogromnie wrażliwi i wymagający. Między innymi dlatego, że niemal od kołyski wpaja się w nich poczucie i pojęcie piękna. W szkole, w najnowocześniejszych klasach, wyposażonych w najfunkcjonalniejsze ławki, uczniowie zapoznają się z najslynniejszymi arcydziełami sztuki i ćwiczą się w projektowaniu stadionów, pałaców, pomników. W domu odrabiają lekcje przy pomocy „Małego Konstruktora”, drewnianych klocków i plasteliny, a latem, podczas wakacji, wykonują zadane im ćwiczenia budując zamki z piasku nad brzegiem morza, niekiedy tak piękne, że stają się po prostu pomnikami narodowymi.

## Mój najpiękniejszy reportaż — wylatuję z redakcji!

Był to pomysł naczelnego Redaktora:

— Odbędzie się Kongres najznakomitszych architektów w jakiejś tam Architektonii. Jedź i zobacz, co to za impreza. O ile okaże się ciekawa, przysyłaj korespondencję.

Rad nierad musiałem jechać. Nie wiedziałem nic o Architektonii i o Kongresie. Niewiele sobie obiecywałem po tej podróży. Przywykłem już, że tam, gdzie zapowiadały się nudy na pudy, wysyłano zawsze mnie, najmłodszego w redakcji.

Przyjechałem do Architektonii w złym humorze, lecz gdy tylko wysiadłem z pociągu, ogarnęło mnie zdumienie. We wszystkich moich podróżach dziennikarza-obieżyświata nigdy nie widziałem nowocześniejszego i \*oryginalniejszego dworca kolejowego.

Ale prawdziwa niespodzianka spotkała mnie dopiero, gdy wyszedłem ze stacji na ulicę, po prostu zabrakło mi tchu. Najpierw przemknęła mi przez głowę myśl, że to miraż. Czyżbym śnił na jawie? Miałem przed oczami nie miasto, lecz sen, który przybrał kształt murów, pałaców, pomników. To była bajka z Tysiąca i Jednej Nocy, fantastyczna wizja.

A jednak to działo się na jawie, te mury i budowle naprawdę istniały.

Rozciągało się przede mną miasto z bajki, które rzeczywiście istniało. Ładne mi nudy na pudy! I jaka to będzie korespondencja, bomba! Szedłem ulicami Architektonii napawając się tym otaczającym mnie pięknem, a w głowie brzęczały mi już urywki zdań mojego reportażu:

„Miasto z bajki: triumf perfekcji, królestwo harmonii!”

„Cud Architektonii: tylko tutaj splendor architektury klasycznej stapia się z najgenialniejszą nowoczesnością”.

„Na widok Architektonii dusza wypełnia się historią, sztuką, pięknem i hula po ulicach jak oszalały z radości balon”.

Napiszę sensacyjny artykuł. To będzie po prostu bomba dziennikarska, jestem bowiem pierwszym reporterem, który przyjechał do Architektonii. Nakład gazety będzie rozchwytywany, redaktor na pewno podwyższy mi pensję.

Spacerując po ulicach Architektonii zorientowałem się nagle, że jest już późno; lada chwila miało nastąpić otwarcie Kongresu Architektów.

Zapytałem pierwszego z brzegu przechodnia o drogę do Pałacu Kongresów. Wskazał mi ją, po czym zapytał:

— Przepraszam, czy pan jest cudzoziemcem ?

— Tak, jestem po raz pierwszy w Architektonii. Co to za wspaniałe miasto! Zjeździłem pół świata, ale nie przypuszczałem, że istnieje coś równie cudownego.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, jak gdybym drwił sobie z niego.

— Mówię prawdę: to istny cud.

— Według mnie jest ohydne.

Nie wyglądał na pijanego. A może trafiłem na wariata? Nie miałem jednak czasu wdawać się w dyskusje i pobiegłem na Kongres.

Olbrzymia sala obrad miała zadziwiający kształt głowy: siedzący na parterze uczestnicy Kongresu mieli wrażenie, że tworzą jej mózg. Ta genialna koncepcja architektoniczna wzmagała we wszystkich poczucie odpowiedzialności i chęć wniesienia owocnego wkładu w obrady.

Kongres już się rozpoczął, brali w nim udział najsłynniejsi architekci miasta, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Przemówienie z trybuny wygłaszała właśnie kobieta.

— Jak wiecie — mówiła — całość architektoniczna miasta uwypukla się w zależności od okolicy, w której jest ono położone. A więc, szanowni koledzy, wydaje mi się, że zarys gór wokół naszego miasta pozostawia wiele do życzenia. Proponuję zatem przekształcić wszystkie góry tak, aby harmonizowały z miastem.



Od razu zapisałem w notesie: „Kobieta architekt robi sensacyjną propozycję: zmianę horyzontu Architektonii, w celu udoskonalenia natury otaczającej to doskonale miasto”.

O dziwo jednak nikt nie bił brawa, gdy owa kobieta zeszła z trybuny. Przewodniczący, który drzemał do tej pory, otrząsnął się i powiedział :

— Dziękuję koleżance za tę błahostkę, którą nam podsunęła.

Błahostka? Wspaniały pomysł! Może przewodniczący nie dosłyszał albo nie zrozumiał, o co chodzi.

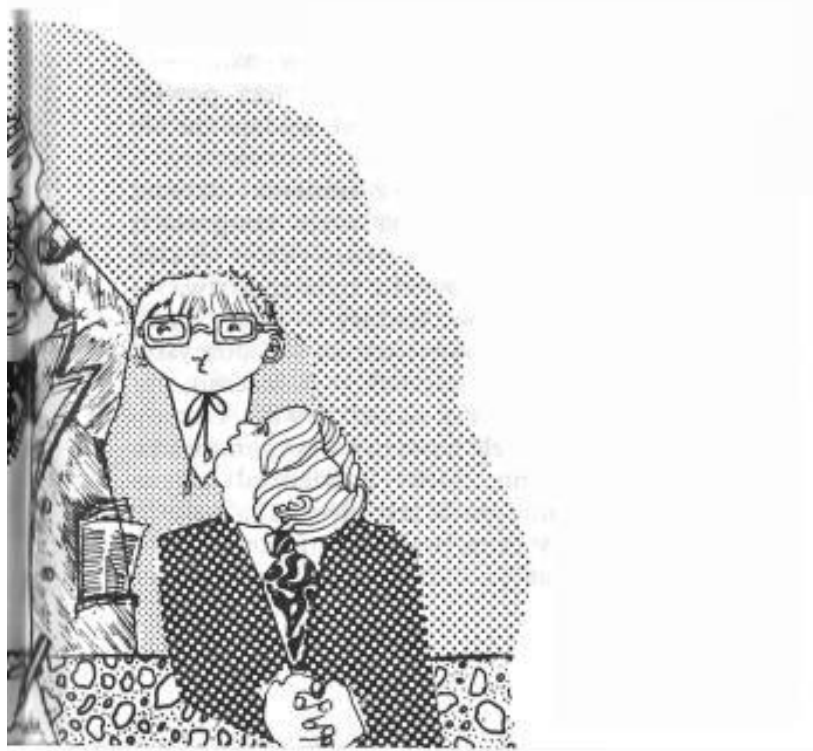
Lecz równie lodowato przyjęto młodziutkiego architekta, który wysunął propozycję produkcji „architektonicznych okularów”, pozwalających widzieć tylko budynki w tym samym stylu.

— Przez czerwone okulary — powiedział — będzie widać w Architektonii jedynie budowle w stylu odrodzenia, przez niebieskie — nowoczesne gmachy i tak dalej. Wtedy każdy będzie mógł oglądać swój ulubiony styl.

Znowu genialny pomysł. Ale Przewodniczący mruknął:

— Weźmiemy to pod uwagę, lecz powiedziawszy szczerze ten pomysł wydaje mi się raczej banalny.

Nie posiadałem się ze zdumienia: dziwny Kongres. Bywałem już na wielu kongresach z racji mojego zawodu i przywykłem słyszeć burze oklasków z powodu byle głupstwa — przeważnie pleciono bzdury — tutaj natomiast padały z trybuny wspaniałe pomysły, projekty, a wszyscy siedzieli w milczeniu, nie bili brawa, a niektórzy nawet ziewali. Czyżby byli głusi, nie mieli fantazji? Przypomniałem sobie przechodnia, który powiedział o tym mieście: „według mnie jest ohydne”. A może po prostu wszystkim brakowało piątej klepki?



Przewodniczący, znudzony i ospały, udzielił głosu profesorowi Palladiemu. Wszedł na trybunę staruszek z plikiem arkuszy. Był to naczelny architekt miasta, a więc pierwszy w Architektonii. Skromny, nieśmiały, zaczął przemawiać ściszym głosem:

— Szanowni koledzy — powiedział. — Nie jestem zadowolony z obrad naszego Kongresu. Słyszałem tu tylko krytykę powierzchwną i banalną...

Nareszcie ktoś protestował: z racji piastowanego przez siebie stanowiska

naczelnego architekta profesor Palladi na pewno przywoła do porządku kolegów, którzy pozwalali sobie lekceważyć tak interesujące propozycje. Chwyciłem ołówek gotów do notowania.

— Oświadczam krótko i wężłowato...

...że przewróciło się wam w głowie, powie im zaraz i będzie miał świętą rację!

— ...że w budowie Architektonii zawiedliśmy na całej linii. Okazaliśmy się dyletantami.

Zastygłem ze zdumienia. Czy on również postradał zmysły? Co więcej, uczestnicy Kongresu potakiwali opieszale, jak gdyby to, co usłyszeli, nie było dla nich żadną nowością.

— Nie dość, że wstydzę się tego miasta, ale zimno mi się robi na myśl, że turyści będą patrzeć na to skupisko brzydoty...

To było doprawdy czyste szaleństwo!

— Skupisko brzydoty?! — zawołałem, nie mogąc tego dłużej słuchać.

— Co pan powiedział? — zapytał Przewodniczący, który wreszcie ocknął się na dobre. — Udzielam panu głosu, skoro ma pan nam coś do powiedzenia.

Zerwałem się z krzesła, wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie.

— To, co słyszę, jest niepojęte — oświadczyłem. — Architektonia jest wspaniała. Przybyłem tu po raz pierwszy i po prostu osłupiałem...

— Drogi panie — przerwał mi po ojcowsku Przewodniczący — proszę się nie gniewać, ale muszę panu przypomnieć, że może się dziwić tylko nieuk. Człowiek wykształcony niczemu się nie dziwi. A my wiemy aż za dobrze, że piękno i Architektonia nie mają ze sobą nic wspólnego.

Wszyscy spoglądali na mnie wzrokiem tak pełnym ubolewania, że nie mogłem wykrztusić słowa. Usiadłem zmieszany.

— Proszę mówić dalej, profesorze Palladi — westchnął Przewodniczący — ale proszę nie prawić takich banałów; wiemy wszyscy doskonale, że cała Architektonia to jedna wielka pomyłka.

Upokorzony tą wymówką profesor mówił dalej z oczyma wbitymi w papiery, jak gdyby się wstydził spojrzeć na audytorium.

— Od pierwszych klas szkoły podstawowej uczono nas, że architektura jest sztuką projektowania i budowania gmachów. Wcale nie powiedziane jednak, że to, co budujemy, musi być nieruchome. Jak widać, nie mamy — ja w pierwszym rzędzie — ani żdźbła fantazji. Czy książki są przygwożdżone do stołu? Czy obrazów i posągów nie można przesuwać z miejsca na miejsce? Czy orkiestry nie jeżdżą z jednego końca świata na drugi? Dlaczego więc, zwłaszcza teraz gdy technika zrobiła gigantyczne postępy, produkty architektury miałyby być wiecznie nieruchome?

— Co za głupstwa przychodzą panu do głowy? — mruknął sennie Przewodniczący. — Ale proszę mówić dalej, przyzwyczailiśmy się już do nich.

Po raz pierwszy wydało mi się, że miał rację: nie zrozumiałem nic z dziwnych wywodów profesora Palladiego.

— Przepraszam za mój brak kompetencji — ciągnął dalej profesor z

upokorzoną miną. — Na dowód, jak powierzchowne są moje teorie w dziedzinie architektury, przytoczę wam przykład: projektujemy domy, w których ustawienie i kształt okien zapewniają najlepsze wykorzystanie światła. Potwierdza to, że naprawdę zrobiliśmy niewielki postęp od czasów, gdy wznoszono prymitywne budowle na palach — tu zaczerwienił się, schylił głowę jeszcze niżej nad papierami i głos jego zdawał się niemal wołać o zmiłowanie. — Nieco mniej prymitywny wydaje mi się mój pomysł budowania domów na osi w ten sposób, aby obracały się one zgodnie z ruchem słońca, co z kolei zapewni w każdej chwili najlepsze wykorzystanie jego promieni. Dlaczego domy, a zwłaszcza ludzie, którzy w nich mieszkają, mieliby pozostawać zawsze na tym samym miejscu? Kamienice na kołach, zależnie od pory roku, mogłyby przesuwać się po torach nad morze lub w góry. Przyznaję, oczywiście, że także i ten mój projekt jest bardzo banalny. Tak samo jak projekt kamienic-amfibii, mogących pływać po morzu i pozwalających ich lokatorom odbywać wspaniałe rejsy przy zachowaniu wygod własnego zacisza domowego. Zrobiłem już projekty tych domów: jedne są w kształcie statków, inne w kształcie ryb. Nie wykończyłem jeszcze natomiast projektu latających kamienic...

Nie, profesor nie był szaleńcem, zmieniłem zdanie. Proponował fantastyczną rewolucję w architekturze: styl ruchomy.

— Jeszcze inny mój projekcik, koledzy wybaczą, że nie dysponuję lepszym, to ruchoma szkoła. Ponieważ jednak brak mi inwencji, ograniczyłem się do zaprojektowania szkoły na olbrzymich gąsienicach, co pozwalałoby udzielać uczniom lekcji w plenerze. Nauczyciel uczy botaniki — szkoła przenosi się do lasu. Na lekcję zoologii przenosi się do zoo, na lekcje geografii nad rzeki i w góry. Naturalnie, moja szkoła przewiduje klasy zbudowane jak trybuny, aby uczniowie mogli obserwować wygodnie wszystko, co się im wyjaśnia.

Przewodniczący otworzył jedno oko.

— Rzeczywiście brak panu inwencji — westchnął. — Ponieważ jednak widzę, że nie zamierza pan się skracać, proszę nas nudzić dalej.

Trząśłem się ze złości. Jak on śmiał tak mówić i dlaczego wszyscy uczestnicy Kongresu zachowywali bierną postawę? Słuchając profesora Palladiego pojąłem, że mam przed sobą najgenialniejszego z architektów. Czemu jednak był onieśmielony jak uczeń przed komisją egzaminacyjną?

— Wszyscy wiecie, jak wygląda nasz stadion — powiedział.

Widziałem ten stadion: wspaniały pierścień cementowy mogący pomieścić dwieście tysięcy widzów.

— ...jest brzydki, niefunkcjonalny, niewygodny — ciągnął dalej Palladi. — Każdy z was wie z własnego doświadczenia, jak męczące jest oglądanie meczów piłkarskich, gdy trzeba wykręcać szyję, aby śledzić akcję w oddalonym punkcie boiska. Proponuję zburzyć ten stadion i zastąpić go innym, zaprojektowanym przeze mnie, też niestety jeszcze bardzo prymitywnym. Idzie tu o zwykły stadion z ruchomymi trybunami zsynchronizowanymi z piłką. Gdy ta przelatuje z jednej bramki do drugiej, przesuwiają się za nią także trybuny, umożliwiając wyraźną i

stałą wizję gry. Nie chcąc wam się dłużej naprzykrzać, nie będę omawiał dalszych projektów, które pozwoliłem sobie przygotować; są to budowle zmieniające kształt i barwę, zwrotne drogi, których można używać w każdym kierunku, parkiet poruszający się w rytm młodzieżowych tańców...

Wiele osób na sali sarkano, a Przewodniczący miast przywołać ich do porządku również okazywał zniecierpliwienie.

Oburzony do głębi, nie mogłem się powstrzymać od zabrania głosu:

— Panie profesorze, niech pan nie zwraca uwagi na tych ludzi. Pan jest geniuszem, największym architektem na całym świecie.

Profesor spojrział na mnie.

— Dlaczego mnie pan obraża? — rzekł smutno. — Chociaż jest pan zagranicznym gościem, powinien się pan zdobyć na odrobinę pobłażliwości. Wiem dobrze, że skompromitowałem się moim wystąpieniem, proszę mi oszczędzić tych szyderczych pochwał.

Czy to możliwe, że nawet on mnie nie rozumiał? Był przecież wspaniały, był naprawdę geniuszem. Powiedziałem to wszystko poważnie, gdzieżbym śmiał drwić sobie z niego.

Profesor, zdruzgotany moimi słowami, zaczął mówić dalej pochylony tak nisko nad plikiem papierów, jak gdyby chciał ukryć w nich twarz. Jego nieśmiały głos był ledwie słyszalny.

— Pozwolę sobie jeszcze dorzucić kilka słów na temat bolesnej sprawy pomników. Mamy ich sporo rozproszonych po całym mieście: pomniki na cześć matki, na cześć wielkich artystów, na cześć wiosny i tak dalej. Jest to pożałowania godne marnotrawstwo materiału budowlanego. Wszyscy powinniśmy się tego wstydić, a ja czerwienię się po uszy, że przyszedł mi do głowy jedynie ten głupi pomysł, który ośmielę się wam przedstawić: projekt jednego pomnika-kalendarza. Czy przypominacie sobie zegary na wieżach kościelnych? Gdy wybijają godziny, ukazują się i przesuwają po linii poziomej przeróżne figurynki. Nie potrafiłem wymyślić nic innego, z braku laku to właśnie posłużyło mi za wzór. Zaiste zdyskwalifikowałem się do reszty zaprojektowawszy pomnik, na którym ukazuje się posąg lub kompozycja architektoniczna poświęcona jakiejś sławnej osobistości albo sławnym wydarzeniom, które czcimy danego dnia. Na przykład w dniu święta matki ukaże się pomnik poświęcony matce, w dniu święta Leonarda da Vinci ukaże się popiersie tego wielkiego artysty, na zakończenie roku szkolnego ukaże się pomnik wakacji i tak dalej.

Składając swoje papiery, profesor dodał na zakończenie:

— Panie Przewodniczący, szanowni koledzy, wybaczcie, że zanudzałem was tymi banialukami.

To już po prostu nie mieściło się w głowie: ten geniusz przeproszał za swoje przemówienie, najwspanialsze, jakie można było sobie wyobrazić! W dodatku nikt go nie oklaskiwał, a Przewodniczący rzekł opryskliwie:

— Z braku laku propozycje profesora Palladiego są przyjęte. Prosimy go jednak wszyscy, aby przygotował coś ciekawszego na następny Kongres.

Profesor upokorzony opuścił salę ze zwieszoną głową.

To jego poniżenie było niesprawiedliwością wołającą o pomstę do nieba. Wybiegłem za nim.

—Panie profesorze, niech pan na nich nie zważa: pan jest naprawdę geniuszem. — Chciałem go pocieszyć, okazać mu, że przynajmniej ja poznałem się na jego wielkości. — Brak mi słów na wyrażenie mojego podziwu, jest pan naj...

— Drogi panie — odrzekł — w Architektonii nie istnieje „naj”. W pełni uświadamiam sobie moje ograniczone możliwości i Przewodniczący miał rację stawiając mi zarzuty. W naszej dziedzinie pracy nigdy nie robi się dosyć: architektura jest sztuką, która służy człowiekowi, aby żył coraz lepiej i był otoczony pięknem. Nigdy więc nic nie może być wystarczająco wspaniałe i użyteczne.

— Ależ stworzyliście już cudowne miasto!

— Baniałuki — odpowiedział potrząsając głową. —A pan skąd przyjechał?

— Z Rzymu.

— Teraz rozumiem, dlaczego mówi pan w taki dziwny sposób. Przybywa pan z miasta równie biednego jak Paryż, Florencja, Londyn, Wenecja... W każdym razie, kiedy będzie miał pan chwilę czasu, proszę wpaść do mnie, abyśmy mogli dłużej porozmawiać. Teraz muszę uciekać, bo jestem bardzo zapracowany.

I tyłem go widział.

Zapadła noc; rozpamiętując ostatnie słowa profesora poszedłem do hotelu. Nie było w nim windy: gdy przychodził gość hotelowy, ściągano jego pokój na parter. Po wejściu do pokoju naciskało się guzik i wybierało piętro, na którym chciało się nocować. Przycisnąłem ostatni guzik i znalazłem się na szczycie drapacza chmur. Pokręciłem korbką przy oknie sięgającym aż do podłogi i przede mną rozciągnął się duży jak taras balkon. Wyszedłem. W dole lśniły światła Architektonii. Był to naprawdę ósmy cud świata.

„Według mnie jest ohydna” — powiedział o Architektonii ów przechodzień.

„Baniałuki”! — mówił Przewodniczący.

„Nie istnieje »naj«: nic nie jest nigdy dostatecznie piękne i użyteczne”.

To wszystko, co usłyszałem, wirowało mi w głowie. Profesor Palladi był dziwakiem czy wielkim mędrcom?

„W architekturze nigdy nie robi się dosyć”. Kto miał rację: tacy ludzie jak ja, którzy chwają wszystko, co jest zaledwie na jakim takim poziomie, czy ci, którzy krytykują wszystko, chcą, aby było nam coraz lepiej, aby otaczało nas coraz więcej piękna?

Bez wątplenia miał rację profesor Palladi. Jego słowa wypisane złotymi zgłoskami w mojej pamięci, lśniły jaśniej od światła Architektonii.

Podarłem notatki do artykułu, który obmyśliłem przedtem, i napisałem wszystko na nowo:

*„Architektonia, w maju*

Jestem w Architektonii, niebrzydkim mieście, zaledwie stokrotnie



piękniejszym od Rzymu, Florencji, Wenecji i Leningradu razem wziętych. Jest to zbiorowisko rzeczy dosyć udanych. Oczywiście ma olbrzymie braki”...

Opisałem główne gmachy miasta, po czym ciągnąłem dalej:

„...Niechaj was jednak nie zwodzi ten opis: moglibyście pomyśleć, że macie przed sobą cudowne miasto. Tymczasem jest wręcz przeciwnie, pomimo że architekci robią co mogą, aby Architektonia stała się bardziej godna swoich mieszkańców. Lecz na Kongresie Naczelnych Architektów, chociaż nie brakowało dobrej woli, pleciono bzdury. Z braku laku przyjęto, pozostawiające wiele do życzenia, projekty profesora Palladiego”...

Wymieniłem jego pomysły z dziedziny architektury „ruchomej” i zakończyłem artykuł następującym zdaniem:

„...Oczywiście, każdy, kto tu przybywa z Rzymu, Paryża czy Nowego Jorku, czuje się tak, jak gdyby przeniósł się z nory do przyzwoitego domu, nie zmienia to jednak faktu, że trzeba przebudować całą Architektonię, aby można było w niej znośnie mieszkać”.

Po ukończeniu artykułu przetelefonowałem go do mojego dziennika. Redaktor, koledzy i czytelnicy wyrobią sobie nareszcie pojęcie, czym powinna być architektura.

Jak się na to zapatrywał naczelny Redaktor, dowiedziałem się następnego ranka. Otrzymałem następujący telegram:

„Nie jestem pewien, czyś zgłupiał, czyś zwariował. Pewne jest tylko to, że wymawiam ci pracę!

Redaktor naczelny”

Całkowicie zlekceważyłem tę depezę. Byłem zbulwersowany: paliło mi się w głowie, ten natłok nowych pojęć po prostu rozsadzał mi czaszkę. Biegałem po Architektonii, badając i podziwiając każdy skrawek muru, byłem nienasycony. Wykład profesora Palladiego oświecił mnie, zwłaszcza jego teoria o architekturze ruchomej trafiła mi do przekonania.



Przypomniałem sobie o zaproszeniu profesora i poszedłem go odwiedzić. Miał pracownię w kształcie znaku zapytania. Powiedział, że to pobudza jego wysiłek myślowy i nasuwa mu twórcze problemy w pracy.

Zapytał, co napisałem dla mojego dziennika, i odpowiedziałem, że zwolniono mnie z pracy.

— Bardzo mnie to martwi — odrzekł zasmucony.

— A mnie bynajmniej. Od kiedy znalazłem się w Architektonii, zacząłem rozumieć wiele rzeczy. Na razie postanowiłem nie wyjeżdżać stąd i zostać architektem. Wpadłem już na pomysł, który wydaje mi się dosyć ciekawy. Wywarła na mnie wielkie wrażenie pańska teoria o architekturze ruchomej. Myślę, że można by jeszcze rozwinąć tę pańską ideę. Jeżeli budynki mają się poruszać, dlaczego nie miałyby się poruszać całe miasto?

Profesor Palladi spoglądał na mnie smutnymi oczyma, bez zainteresowania.

— Nie rozumie pan, panie profesorze? To gigantyczny projekt: ruchome miasto, całe miasto, które w zimie przenosi się w strefę łagodnego klimatu, w lecie na morskie wybrzeże, które jedzie na mecz w ślad za swoją drużyną piłkarską... Co pan o tym myśli? — zapytałem z przejęciem.

— Nie wydaje mi się to żadną rewelacją... — odrzekł.

Jak to ? Proponowałem mu stworzenie pierwszego na świecie ruchomego miasta, a on nawet nie mrugnął okiem.

— ..jest to jednak projekcik godzien zastanowienia, ja sam — dorzucił niedbale — już od lat pracuję nad tym głupstwkiem. Gdyby pan zechciał, moglibyśmy popracować razem...

Nie posiadałem się z radości.

— Panie profesorze, co za szczęście pracować z takim geniuszem jak pan! Jest pan naj...

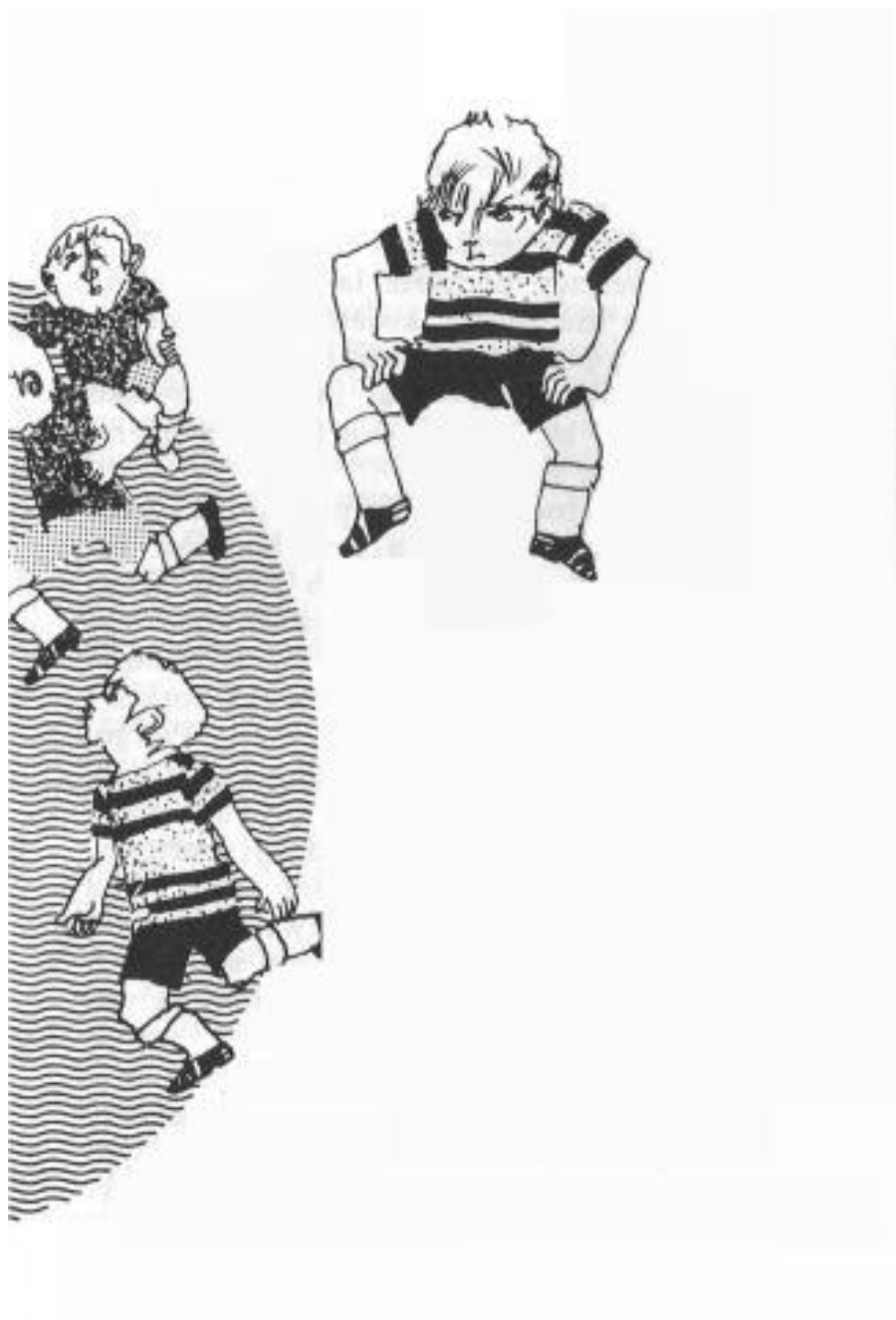
— Proszę nie używać tego wulgarnego wyrażenia: „naj”. U nas ono nie istnieje. Muszę również uprzedzić pana, że ma pan zadatki na bardzo przeciętnego architekta: musi pan jeszcze wiele się uczyć, bardzo wiele, architektura wymaga poważnych studiów.

Pozostałem tu, rzuciłem dziennikarstwo i stałem się architektem, współpracownikiem profesora Palladiego. Architektonia i jej mieszkańcy są wspaniali!

...To znaczy, chciałem powiedzieć, nie są najgorsi, niebrzydkie miasto, niegłupi ludzie. Jak by to określić? Jest to miasto mniej szpetne od innych, a ludzie najmniej tępi i najmniej zarozumiali na świecie.

# SPORTOGRÓD





## Gotowi do biegu? Start!

Gotowi do biegu? Start!

Na zielonym świetle przechodnie puścili się biegiem po pasach jezdni. Policjant w bluzie i czarnych krótkich spodenkach sprawdzał, czy bieg odbywa się zgodnie z przepisami, i zagwizdał, gdy pierwszy przechodzień przeciął nić na przeciwległym chodniku.

— Brawo! Wygrał pan!

Do zwycięzcy podeszła ładna dziewczyna i wręczyła mu bukiet kwiatów oraz medal. Tymczasem policjant-sędzia, wyciągnął z kieszeni bloczek i wypisywał imię i nazwisko przechodnia, który ostatni przybył do mety, by go ukarać grzywną.

W Sportogrodzie tak się przechodzi przez ulice. Natomiast gdy dla przechodniów zapala się czerwone światło, po jezdni pędzą rowery uczniów, motocykle i samochody wyścigowe wyższych urzędników i przemysłowców (oczywiście wszystkie po swoich torach). Lotne mety znajdują się na Placu Pelego, na Corso Olimpijskim, na ulicy Piłkarskiej, i policjanci-sędziowie czuwają, aby ruch uliczny miał charakter jak najbardziej sportowy.

To miasto żyje pod hasłem „Do biegu gotowi? Start!”, jest królestwem stopera, ziemią rekordów. Codziennie we wszystkich szkołach, urzędach i fabrykach zdobywa puchar ten, kto przybywa pierwszy.

Podczas gdy w innych miastach ludzie pragną odznaczeń państwowych i awansów, tu każdy marzy o różowej koszulce najszybszego robotnika roku, o żółtej koszulce, przyznawanej temu, kto przez cały rok najwcześniej wstaje, o trofeum dla najlepszego skoczka do tramwaju w biegu, o odznace dla najbardziej zapalonego kibica sportowego.

W Sportogrodzie nigdy nie traci się czasu: podczas spaceru podaje się piłkę jak w koszykówce (a ludzie w oknach oklaskują najlepsze akcje); wracając do domu nie korzysta się ze schodów ani z windy, ale skacze się o tyczce do okna; w parkach uprawia się wyłącznie sport: biegi, skoki, piłkę nożną (linie biegną wzdłuż kwietników, a kiedy upada na nie piłka, przerywa się grę, by ją stamtąd wykopać). Wczesnym rankiem wszyscy odbywają marsze za miasto, a w niedzielę biorą udział w zawodach sportowców, byłych sportowców, emerytów, dzieci, matek, dziadków i tak dalej.

Na biletach wizytowych każdy dodaje do imienia i nazwiska swoją dyscyplinę sportową albo nazwę ulubionej drużyny. Na przykład: „Mgr Giacomo Lucci, kibic Interu”, „Inż. Francesco Rossi, kibic Juventusa”, „Domenico Janelli, 100 m w 10,2”, „Dr Franco Esposito, były bramkarz” i tak dalej.

Z lotu ptaka można od razu rozpoznać Sportogród. Składa się cały z nieskończonej ilości kółek, zielonych prostokątów, owali: są to stadiony, boiska, pływalnie, hale sportowe. Znajdują się one wszędzie. Większe mieszczą się w śródmieściu, mniejsze na peryferiach i wszystkie przepełnione są widzami pełnymi entuzjazmu i znakomicie zorientowanymi we wszystkich dziedzinach

sportu.

Historia, którą wam opowiem, zaczyna się właśnie na zielonym prostokątku, małym boisku położonym na peryferiach miasta.

## **Piłkarz w zaczarowanych butach**

Jest to historia o jedynym piłkarzu na święcie, który miał owłosione nogi: wszyscy inni bowiem muszą je sobie pieczołowicie wygalać ze względu na masaż.

Był sobie pewien siedemnastoletni chłopiec, sierota, pracujący jako terminator w małym warsztacie. Jak cała młodzież w Sportogrodzie, Poldo uprawiał sport. Grał w środku ataku w jednej z setek podrzędnych drużyn. Trenerem tej drużyny był fryzjer, sam nie mógł już grać, ponieważ roztył się i postarzał, wyładowywał więc swoją pasję sportową jako trener. Poldo jednak słuchał go ślepo, jak gdyby miał do czynienia z trenerem reprezentacji. Lecz pomimo wielkiego zapału i najlepszej woli nie był dobrym graczem: nie strzelał goli, nie miał wielbicieli, trener nie mówił mu: „Brawo, zajdziesz daleko”. Ale trenował zawzięcie. Poza tym, nie tylko pracował, ale uczył się wieczorami, bo chciał skończyć szkołę techniczną.

Do tej pory jego historia przypomina historię setek tysięcy jego rówieśników ze Sportogrodu. Staje się niezwykła w dniu, gdy rozgrywając mecz z drużyną juniorów zobaczył na małej trybunie czarno ubraną staruszkę. Nie było w tym nic dziwnego, w Sportogrodzie bowiem staruszki pasjonowały się nawet meczami piłkarskimi juniorów; ta jednak, nie zwracając uwagi na innych graczy, nie odrywała oczu od niego jednego.

Zmieszany i wzruszony zainteresowaniem tej dziwnej wielbicielki, za każdym razem, kiedy był przy piłce, spoglądał na nią, jak gdyby chcąc jej powiedzieć: „Widzisz? Robię, co mogę, to nie moja wina, że mi się nie udaje...”. Rzeczywiście mu nie szło i także tego dnia nie strzelił ani jednego gola.

W szatni podszedł do niego fryzjer-trener.

— Poldo, tak dłużej być nie może — powiedział. — Wystawię cię jeszcze w jednym meczu na próbę, potem będę zmuszony przenieść cię do rezerwy. Klienci w moim zakładzie protestują, mówią, że drużyna musi mieć atak z prawdziwego zdarzenia.

Poldo wziął swoją zniszczoną torbę i zgnębiony opuścił boisko.

— Nie smuć się — usłyszał za sobą jakiś głos.

Odwrócił się i zobaczył czarno ubraną staruszkę. Nie była ani ładna, ani brzydka, ale uśmiechała się tak mile, że ciepło się robiło na sercu.

— Jestem pewna, że w przyszłą niedzielę zagrasz znakomicie. Wierzę w ciebie i dam ci coś, co przyniesie ci szczęście. — Podała mu paczkę, którą dotąd trzymała pod pachą. — Zaslugujesz na to. Pamiętaj jednak, bądź zawsze taki

solidny i pełen dobrych chęci jak teraz. — Staruszka oddaliła się. Pomimo podeszłego wieku szła lekkim krokiem, jak gdyby unosząc się nad ziemią.

Otworzywszy paczkę Poldo znalazł w niej parę butów do gry w piłkę nożną, czarnych, ze skórki przypominającej w dotyku aksamit. Miały one dziwny, niespotykany fason, obcasy miękkie jak z gumy, śnieżnobiałe jedwabiste sznurowadła. Były to buty godne mistrza sportu.

Przymierzył je od razu: pasowały jak ulał. Przez cały tydzień przyglądał się im ciężko wzdychając: szkoda, że dostał je właśnie teraz, kiedy na pewno usuną go z drużyny.

Gdy w następną niedzielę koledzy zobaczyli w szatni jego buty, natrzęsali się z niego. Trener-fryzjer powiedział wprost:

— Co za głupota wyrzucać tyle pieniędzy na takie luksusy. — Oczywiście nie wierzył w niego i chciał go zastąpić kimś innym.

Wchodząc na boisko, Poldo obrzucił wzrokiem trybunę. Staruszka już tam była. Ogarnął go lęk, że się zbląźni. Lecz ona uśmiechała się, a nawet machała ręką, jak gdyby dla dodania mu odwagi.

Kiedy rozległ się gwizdek na rozpoczęcie meczu, strach Polda rozwiął się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: wydawało mu się, że ma skrzydła u ramion, nigdy jeszcze nie czuł się taki zręczny i w takiej dobrej formie, a buty uderzały w piłkę niemal z pieśczołą, podszeptując jej właściwy kierunek. Rzeczywiście, wszystkie jego strzały były niewiarygodnie precyzyjne.

— Brawo Poldo! Rób tak dalej! — zaczęły się rozlegać okrzyki z trybuny. Bo trzeba wam wiedzieć, że w Sportogrodzie kibice sportowi, nawet na małych boiskach, są znawcami i zauważyli od razu jego niezwykłą precyzję i szybkość.—Naprzód! Pokaż, co umiesz, strzelaj gola!

Poldo, dopingowany entuzjastycznie po raz pierwszy w życiu, wziął się na odwagę i rozpoczął akcję indywidualną. Było to cudowne odkrycie: udawało mu się roztrącać przeciwników jak kręgle. Wystarczyło, że pomyślał: „Strzelę w górny róg po prawej stronie”, a piłka lądowała właśnie w tym miejscu. Bramkarz obronił kilka strzałów, lecz potem przyszedł pierwszy gol i drugi, i trzeci.

Publiczność szalała.

— Jesteś mistrzem! Brawo! Strzel jeszcze gola!

I Poldo, rozentuzjasmowany, spełniał życzenie widzów. „Teraz — postanowił — strzelę w lewy dolny róg” i piłka szybując tuż nad ziemią, grzęzła w siatce obok rozpaczliwie robinsonującego bramkarza. Cała publiczność na trybunie, porwana bez reszty jego grą, wstała, lecz Poldo spoglądał tylko na staruszkę, która po każdym jego голу uśmiechała się, lekko klaskając w ręce.

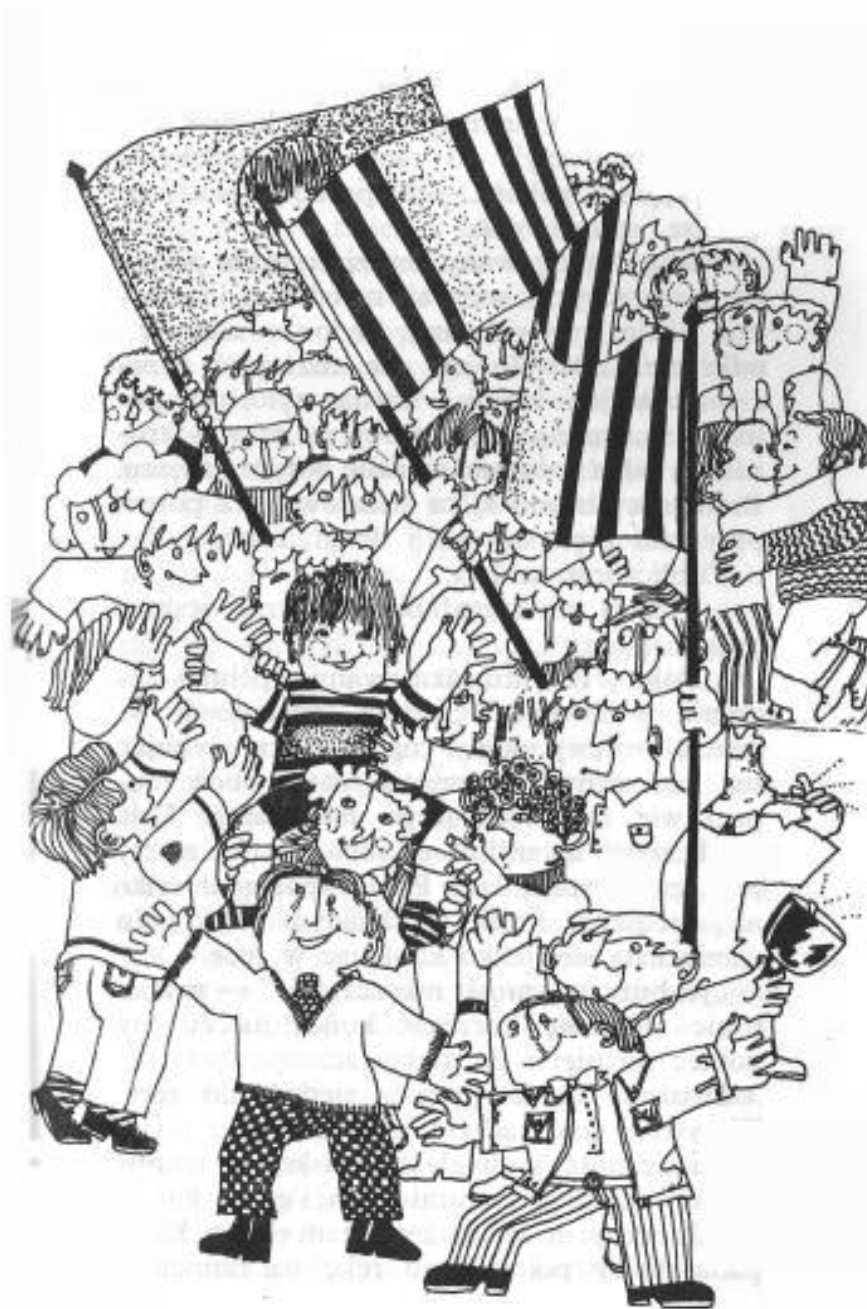
„Jej buty przyniosły mi szczęście” — myślał i nie mógł się doczekać końca meczu, by pobiec do niej i podziękować.

Drużyna Polda wygrała siedem do zera. Wszystkie gole padły z jego strzału.

Publiczność wybiegła na boisko, by triumfalnie wynieść go na ramionach, i gdy w końcu puszczono go do szatni, zastał tam eleganckiego pana, który



położył mu rękę na ramieniu.



— Wziąłem twoje dane — rzekł — w przyszłą niedzielę zagrasz w mojej drużynie, w „Luxorze”.

Lider pierwszej ligi! O takim szczęściu nie śmiał marzyć żaden z juniorów!

Od razu przypomniała mu się staruszka. Co za niewdzięczność z jego strony,

mało brakowało, a byłby o niej zapomniał. Pobiegł na trybunę, do wyjścia, rozglądał się na wszystkie strony, ale jej nie znalazł. Potem szukał staruszki poza stadionem, wypytywał przechodniów: nikt jej nie widział, znikła.

„Tak bym chciał jej podziękować — westchnął w duchu. — Jej buty naprawdę przyniosły mi szczęście... I jakie szczęście, będę grał w »Luxorze«!” Stała mu przed oczyma czerwono-zielona koszulka najslawniejszej drużyny Sportogrodu. Będzie grał w tej koszulce przed stu tysiącami widzów na głównym stadionie miasta. „Co ja potrafię, prawdziwy ze mnie as — pomyślał — fryzjer nie poznał się na mnie...”

Po miesiącu Poldo, środkowy ataku, który strzelał po kilka goli w każdym meczu, stał się najpopularniejszym piłkarzem Sportogrodu. Pisały o nim wszystkie gazety, telewizja przeprowadzała z nim wywiady, kierownicy innych klubów dawali setki milionów, aby go skaperować.

Przeniósł się do luksusowego mieszkania, kupił pozaseryjny samochód koloru czerwono-zielonego, zamówił sobie kilka tuzinów ubrań u najlepszego krawca. Trwonął pieniądze, wydawał wszystko, co zarabiał. Jedna tylko rzecz była mu droższa ponad wszystko: otrzymane w prezencie buty. Grał tylko w nich, przeświadczony, że przynoszą mu szczęście. Lecz zrobiwszy zawrotną karierę zapomniał o staruszce, a także przestał się uczyć — zakurzone książki leżały porzucone na szafie — i zaczął lekceważyć treningi. Trener nalegał.

— Każdy gracz musi trenować, ty również.

— Ja nie jestem zwykłym graczem — odpowiadał mu Poldo — jestem super-asm. Nie potrzebuję trenować i bez treningu potrafię w każdym meczu zapewnić zwycięstwo mojej drużynie.

A ponieważ nie chciało mu się golić włosów na nogach, odprawił masażystę. Trenerowi nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z jego kapryсами, bo i tak co niedzielę stadion był przepełniony i Poldo strzelał po kilkanaście goli, wprawiając w szal radości rozentuzjasmowaną publiczność.

Na boisku nie wiedział nawet, co to znaczy zmęczenie, nie biegał — fruwał. Jego nogi, w tych miękkich czarnych butach, trafiały w każdą piłkę, kopiąc ją to z armatnią siłą, to ze zręcznością wytrawnego zonglera. Obrońcy i bramkarz szaleli, ale byli bezradni, widzieli tylko te szatańskie buty, migające im przed oczyma w błyskawicznych akcjach.

— Poldo! Strzelaj jeszcze gola! — wrzeszczeli widzowie. I gdy Poldowi dopisywał humor, spełniał ich życzenie. Strzelał bowiem gole na zawołanie, wystarczało tylko, że tego chciał.

Z biegiem lat wzrastała jego sława. W Sportogrodzie, pomimo że było to miasto mistrzów sportu, nigdy jeszcze nie widziano takiego asa. Władze musiały zająć się rozprowadzaniem biletów na stadion, ponieważ wszyscy obywatele chcieli oglądać każdy jego mecz.

Poldo nie pamiętał już, że chciał niegdyś skończyć szkołę techniczną, a gdyby nawet pamiętał, wstydziłby się tego. Zapomniał też całkowicie o staruszce, ale nie o jej butach. Tylko w nich czuł się prężny i pełen wigoru. Po każdym meczu

czyścił je skrupulatnie aksamitną ściereczką, nadawał im połysk najdroższymi pastami i luksusowymi szczotkami.

Pewnej niedzieli jednak po meczu, w którym strzelił sześć bramek, zauważył w jednym z butów małe pęknięcie. Przeraził się tak, jak gdyby mu oznajmiono, że jest nieuleczalnie chory.

Pobiegł do najlepszego szewca w mieście, przyrzekł mu za naprawę buta olbrzymie wynagrodzenie. Szewc wywiązał się pierwszorzędnie ze swojego zadania, lecz od tego dnia Poldo po każdym meczu oglądał z zapartym tchem swoje buty, czy nie pękają w innych miejscach. Ta myśl prześladowała go jak zmora, bo pomimo wszystkich jego wysiłków buty nieuchronnie się zużywały. Miał je już od dziesięciu lat: skóra marszczyła się, obcasy ścierały, zelówki zaczynały się zdzierać.

— Zelówki są już na nic — mówili szewcy — są cienkie jak bibułka. Dlaczego nie kupi pan nowych butów?

Poldo nie chciał nawet o tym słyszeć. Upierał się, że grać będzie jedynie w tych butach, i żądał, by mu je naprawiano. Szewcy dokonywali cudów i dzięki nim buty przetrwały dalsze dwa lata, lecz były już w pożałowania godnym stanie.

Tymczasem Poldo odnosił wrażenie, że nie ma już dawnej zręczności i siły: strzelał teraz na meczu co najwyżej dwa, trzy gole.

Straciwszy zaufanie do szewców, sam zaczął reperować swoje buty. Ślęczał nad nimi całymi nocami, radził się najlepszych fachowców. Ale szwy coraz częściej pękały, podczas meczu buty rozlatywały mu się na nogach, tak że musiał je przymocowywać do nóg specjalnymi sznurowadłami.

Jeszcze strzelał gole, ale nie był już graczem tej klasy co przedtem. Zarówno publiczność jak i prasa stwierdzały: „To jeszcze wielki piłkarz, ale już nie Poldo ze złotych czasów”.

Poldo wściekał się:

— Ja im jeszcze pokażę! Niech tylko zdobędę drugą parę takich butów, a wszystkich zadziwię!

Nie mógł jednak nigdzie znaleźć tego modelu: odwiedzał wszystkie sklepy i fabryki obuwia, lecz nigdzie nie wyrabiano butów, a nawet nigdy nie widziano podobnych.

Buty trzymały się jeszcze dzięki rozlicznym łatom i wiązadłom, ale nie wyglądały już jak buty piłkarza, przypominały raczej łapcie pustelnika, przebywającego od trzydziestu lat na bezludnej wyspie. A jednak Poldowi nawet nie przychodziło na myśl, aby się ich pozbyć, wydawałoby mu się, że sam pozbywa się własnego szczęścia.

Przyszedł jednak krytyczny dzień. Pewnej niedzieli, wracając do szatni, spostrzegł nagle, że stąpa po boisku boso, ciągnąc za sobą resztki pozostałej przy wiązadłach skóry. Buty rozleciały się i nie było już sposobu, by na powrót sklecić i pozszywać ich szczątki.

Poczuł się zgubiony, chciał krzyczeć ze złości i z rozpacz. Lecz nagle

uspokoił się.

— Dosyć, czas skończyć z tą zabobonną wiarą! — powiedział sobie w duchu. — Będę grał równie dobrze w każdych innych butach.

Pobiegł co tchu do sklepu i kupił sobie dwanaście par najlepszych butów. Lecz gdy wrócił na boisko, wydawało mu się, że ma na nogach nie buty, lecz ołów.

— To mi się tylko wydaje — dodawał sobie otuchy. — Muszę się do nich przyzwyczaić i będę grał znakomicie.

Cóż, kiedy tylko dotknął piłki, zdrętwiał z przerażenia: poszła bokiem i wylądowała pod nogami przeciwnika. Po raz pierwszy w swojej karierze źle podał piłkę. Okrzyk zdumienia — Och! — rozległ się nad wypełnionymi do ostatniego miejsca trybunami.

„Jestem zdenerwowany, muszę się skupić — pomyślał — każdemu się zdarza złe podanie. Zaraz to odrobnię, wybiję piłkę środkowemu obrońcy i strzelę wspaniałego gola”.

Do tej pory wystarczały mu trzy skoki na dopadnięcie przeciwnika, tymczasem teraz, nim do niego dobiegł, musiał się zatrzymać, by zaczerpnąć tchu. Co mu się stało? Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, bo podano mu piłkę. Jego stopingi były słynne. Podniósł nogę, lecz piłka zamiast zatrzymać się na ziemi, odbiła się o jego but i poleciała w stronę jednego z przeciwników.

Dały się słyszeć gwizdy. Poldo odczuł je jak policzek. Lecz mignęła mu myśl: „Wszystko przez te przeklęte nowe buty. Są okropne i uwierają mi stopy”. Pobiegł je zmienić do szatni, lecz po jego powrocie rozlegały się coraz to donośniejsze gwizdy. Za każdym razem, kiedy był przy piłce, to albo ją wybijał, albo mu ją odbierano. Nawet dziesięcioletni chłopiec zagrałby lepiej od niego.



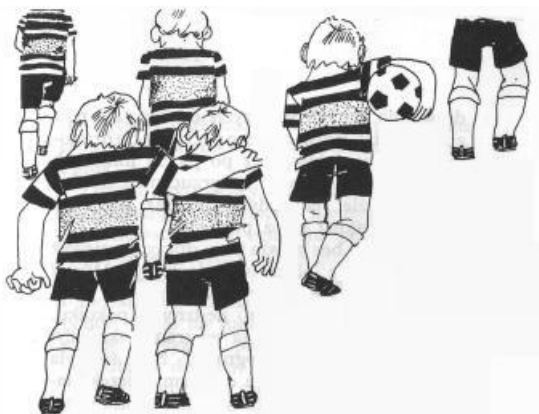
„Przeklęte buty! To wszystko przez nie, te także mi nie pasują”. W szatni włożył następną parę, ale jego gra nie poprawiła się ani na jotę. Był to żalony widok patrzeć na tego asa, który marnował każdą piłkę, i co chwila wybiegał do szatni, by zmienić buty, podczas gdy publiczność gwizdała bezlitośnie.

Po meczu, w szatni, osunął się na ławkę. Z trudem łapał oddech, wzrok miał

zamglony. Wydawało mu się, że ma na nogach nie buty, ale narzędzia tortur.

Wpadł rozjuszony trener:

— Zarozumialec! Partacz! Nie chciało ci się trenować i masz teraz skutki! Jesteś skończony, usuwam cię z drużyny!



— Błagam pana! — zawołał Poldo jękając się ze zmęczenia i ze wstydu. — Niech mi pan pozwoli zagrać jeszcze raz. Zobaczy pan, że strzelę co najmniej pięć goli. Sam nie wiem, co mi się dzisiaj stało...

Pozwolono mu zagrać w następną niedzielę, lecz musiano wezwać policję, by go ochronić przed rozjuszonymi kibicami.

— Precz z tym patalchem! — krzyczała publiczność rzucając butelki na boisko. — Przynosi wstyd Sportogrodowi!

Usunięty z „Luxoru” Poldo próbował się dostać do innych słabszych drużyn, ale nikt go nie chciał. Prosił nawet o przyjęcie do drugorzędnych zespołów, lecz po pięciu minutach próby wydrwiwano go i wyrzucano z boiska. Grał tak źle, jak gdyby po raz pierwszy w życiu zetknął się z piłką.

Znalazł się bez grosza przy duszy, ponieważ strwonił swoje olbrzymie dochody. Musiał sprzedać samochód, opuścić luksusowe mieszkanie. Zamieszkał w nędznym pokoiku. Ale nie dawał jeszcze za wygraną: skończył się on, superas Sportogrodu? Nie, to była jedynie sprawa powrotu do formy, przekonania jakiegoś trenera, żeby go zaangażowano. Ale jak tego dokonać?

Pewnej nocy, kiedy się nad tym zastanawiał, przypomniał sobie staruszkę. Przez całe lata nie pomyślał o niej ani razu, lecz teraz stanęła mu jak żywa przed oczyma, mała, chuda, czarno ubrana. Wydawało mu się, że słyszy jej głos: „Dam ci coś, co przyniesie ci szczęście”.

Usiadł na łóżku.

— Ona jedna może mnie ocalić! To jasne jak słońce, że jej buty przyniosły mi szczęście. Jeżeli mi da drugą parę, znowu będę wszystkich zadziwił.

Ale gdzie jej szukać, zakładając, że jeszcze żyje? Chyba tylko na małym, położonym na peryferiach stadionie, gdzie spotkał ją po raz pierwszy. Nazajutrz wypadała niedziela. Może staruszka wybierze się na mecz?

Gdy doszedł do stadionu, zorientował się, że nie ma nawet pieniędzy na bilet. Stał przy bramie, przyglądając się wchodzącym na trybunę ludziom. Nikt go nie poznał, nic dziwnego, nawet nie przypominał dawnego Polda.

Ostatni spóźnił się do stadionu, a staruszki jak nie było, tak nie było. Zaczynał już żałować, że w ogóle tu przyszedł, gdy nagle ją zobaczył.

Szła powoli, tym dziwnie lekkim krokiem i nic się nie zmieniła przez trzynaście lat. Nawet miała na sobie tę samą, co wówczas, suknię i trzymała pod pachą paczkę.

Podbiegł do niej.

— Błagam panią o pomoc!... Jak to, nie poznaje mnie pani? Jestem Poldo, as „Luxoru”.

Staruszka patrzyła na niego obojętnie, bez tego miłego uśmiechu, od którego ciepło robiło się na sercu.

— Podarowała mi pani parę butów. To one przyniosły mi szczęście. Proszę panią na wszystko o jeszcze jedną parę!

— Czy takich, jak te? — Staruszka rozwinęła paczkę, którą trzymała pod pachą, i ukazały się niezapomniane leciuteńkie buty, z cudownie miękkiej skórki, ze śnieżnobiałymi sznurowadłami i elastycznymi obcasami z gumy.

— Takie, takie! — zawołał Poldo i wyciągnął ręce: nareszcie będzie miał znowu swoje magiczne buty!

Ale staruszka potrząsnęła głową.

— Ty już raz dostałeś swoją parę butów — rzekła — a można mieć w życiu tylko jedną. Te buty są jak lata twojej najpierwszej młodości. Czy te lata powrócą? Nie. I dlatego nie wolno ich marnować. Ty natomiast rzuciłeś w kącie książki, przestałeś też trenować, a nawet zapuściłeś włosy na nogach.

Jakim cudem wiedziała o wszystkim? Poldo spoglądał na nią osłupiały ze zdumienia.

— Te buty — ciągnęła dalej staruszka — są przeznaczone dla innego chłopca, który jest taki, jakim ty byłeś dawniej: skromny, pełen najlepszych chęci, zapalony do nauki i do sportu. Chcę mu dopomóc, tak jak pomogłam tobie.

— Zrobię wszystko, co tylko pani zechce! — błagał Poldo. — Zgolę włosy na nogach, będę trenował, będę się uczył, ale niech mi pani pomoże jeszcze raz!

— Pomóc mogę każdemu tylko jeden jedyny raz, tobie zresztą na nic się to nie przydało. W siedemnastym roku życia byłeś terminatorem w warsztacie mechanicznym: teraz masz trzydzieści lat i nie posunąłeś się ani o krok dalej. To twoja wina. Zapamiętaj sobie, że nie wolno marnować młodości.

Z daleka dał się słyszeć gwizdek sędziego, rozpoczął się mecz.

— Muszę już iść — rzekła staruszka. — Żegnaj, Poldo. — Wzięła buty pod pachę i ruszyła lekkim krokiem do bramy stadionu.

Gdy znikła, Poldo odszedł ze zwieszoną głową. Opuściły go wszelkie złudzenia. Wiedział już, że nie ma innego wyjścia, jak iść do warsztatu, w którym niegdyś pracował, i prosić, aby go znów przyjęto. Nie umiał nic, tylko w ten sposób mógł zarobić na życie.

Szedł przygarbiony, a za jego plecami tłum wiwatował na cześć jakiegoś nowego asa w zaczarowanych butach.

# **SUKCESOPOL**







## Jedna sobota i sześć niedziel

Trudno o bardziej męczące życie niż w Sukcesopolu: nigdy ani dnia wypoczynku. Tryb życia jest tak wyczerpujący, że trzeba się raz po raz wzmacniać witaminami.

Wczesnym rankiem dzwoni budzik (oczywiście z pozytywką grającą melodie najmodniejszych piosenek). Potem je się na łapu capu śniadanie z oczyma wlepionymi w telewizor, by wysłuchać zapowiedzi całodniowego programu rozrywkowego. A potem biegiem do szkoły, gdzie od ósmej do pierwszej odbywa się nauka gry na gitarze, śpiewu i tańca z najnowszymi przebojami taneczny mi łącznie, które wymagają takiego tempa, że można wyzionąć ducha. No i obiad — oczywiście z muzycznym jadłospisem: makaron à la tarantella, sałatka z sosem big-beat, pieczeń koncertowa, na deser mazurek cygański. Spożywa się wszystko w pośpiechu, przeglądając pisma ilustrowane; trzeba trzymać rękę na pulsie, nie wolno przeoczyć takich wydarzeń, jak ślub sławnej aktorki czy wywiad z modnym piosenkarzem. Chciałoby się trochę odsapnąć po południu, cóż, kiedy trzeba biec do kina obejrzeć nowy western, a potem polować po całym mieście na autogra fy dla uzupełnienia kolekcji. Wieczór z kolei upływa przed telewizorem. Byłoby grzechem nie obejrzeć Wielkiej Gry, której zwycięzca pojedzie w nagrodę do Hollywood. A potem do łóżka? Spać? Figa z makiem! Trzeba gnać na dancing, bo codziennie lansują nowy taniec i nie można pozostawać w tyle. Oczywiście między jednym i drugim wypadem znajdzie się kilka minut wytchnienia, trzeba jednak posłuchać radia, przejrzeć żurnale mód i przegrać kilka płyt na adapterze.

Dzień za dniem powtarza się to samo, w Sukcesopolu bowiem tydzień składa się z jednej soboty i sześciu niedziel. Słowem, wciąż trzeba pracować — bawiąc się. I nikt się jakoś nie skarży. Ludzie wykazują dużo dobrej woli i nie zniechęcają się do nauki. Biada temu, kto nie stosowałby się do najnowszej mody, nie znał najnowszych przebojów dnia i sensacji.

Pewien wynalazca dorobił się olbrzymiego majątku, rzucając na rynek swój „tele-radio-adapto-żurnal”. Genialny aparat, coś w rodzaju fotela: siada się w nim z nogami opartymi na dwóch pedałach poruszających się w rytm tańca, jakiego chcemy się nauczyć. Przed oczyma ma się trzy ekrany, które podają jednocześnie transmisje z trzech kanałów; pod jedną poręczą znajduje się radio ze słuchawką (na prawe ucho), pod drugą adapter ze słuchawką (na lewe ucho), a nad telewizorami trzy przyrządy przewracające stronicie tygodników, gdy na ekranie ukazuje się napis „Przerwa”. Dzięki „Tele-radio-adapto-prasie” oszczędza się moc czasu i ma się zawsze najświeższe informacje.

Słowem, mieszkańcy Sukcesopola mają życie wypełnione po brzegi, ale czyż ta ciągła zabawa nie jest obowiązkiem?

Jeden tylko chłopiec imieniem Osvaldo był innego zdania. I jest to historia, którą warto opowiedzieć.

## Oswaldo, jakie to piękne!

Oswaldo był u kresu wytrzymałości. Wciąż tylko słyszał dokoła: „Och, jakie to piękne!”, jak gdyby ludzie nie umieli już nic innego powiedzieć. „Och, jaki piękny ten ostatni taniec!” „Och, jaka piękna ta ostatnia płyta!”

„A ten ostatni film? Och, jaki piękny!” „Och, jakie piękne!” Piękne to wszystko, co modne, co ma powodzenie. W Sukcesopolu wystarczyło wywiesić w kiosku album komiksów z opaską „Wielki Sukces”, „Pierwsza Nagroda na Festiwalu Komiksów w Bordigerze”, a ludzie ustawiali się w kolejce. Rozchwytywali go na wyścigi.

Żurnale mód lansowały spódnicę-lachman? „Jaka piękna, jaka oryginalna!” i wszystkie dziewczęta nosiły wystrzępiony gałganek. Pojawiał się nowy taniec „orangutang”? Przy ogłuszającym biciu w bębny wszyscy podskakiwali, kołysząc się i uderzając pięściami w piersi. „Och, jaki piękny taniec!”

— Piękny, piękny, piękny! — zżymał się Oswaldo. — To wszystko chorzy ludzie, to istna epidemia. Ja, na szczęście, już jestem na nią uodporniony. — Leżał przez kilka miesięcy w klinice, gdzie zalecono mu absolutny spokój, zabroniono oglądać telewizję, słuchać radia i czytać gazety. Wyszedszy z kliniki, widział wszystko innymi oczyma, jak gdyby otrzeźwiał po wielkim pijaństwie. Owe miesiące ciszy i spokoju podziały na niego niby odtrutka. Sukcesopol, rozszalałe, rozkiełznane miasto wydało mu się istnym domem wariatów. Wszędzie muzyka, festyny, zabawy, festiwale, ogłuszająca reklama, prasa publikująca jedynie wiadomości o aktorach i modnych piosenkarzach. Na ulicach chmary wielbicieli, osaczające samochody wielkich gwiazd i gwiazdorów, domagały się autografów; dziewczęta tłoczyły się przed atelier filmowymi w nadziei na próbne zdjęcia. „Och, zdobyć sławę! Och, jakie to byłoby piękne!”

Oswaldo był młodziutkim chłopcem, wydawało mu się jednak, że stał się dorosły w ciągu kilku miesięcy spędzonych w samotności.

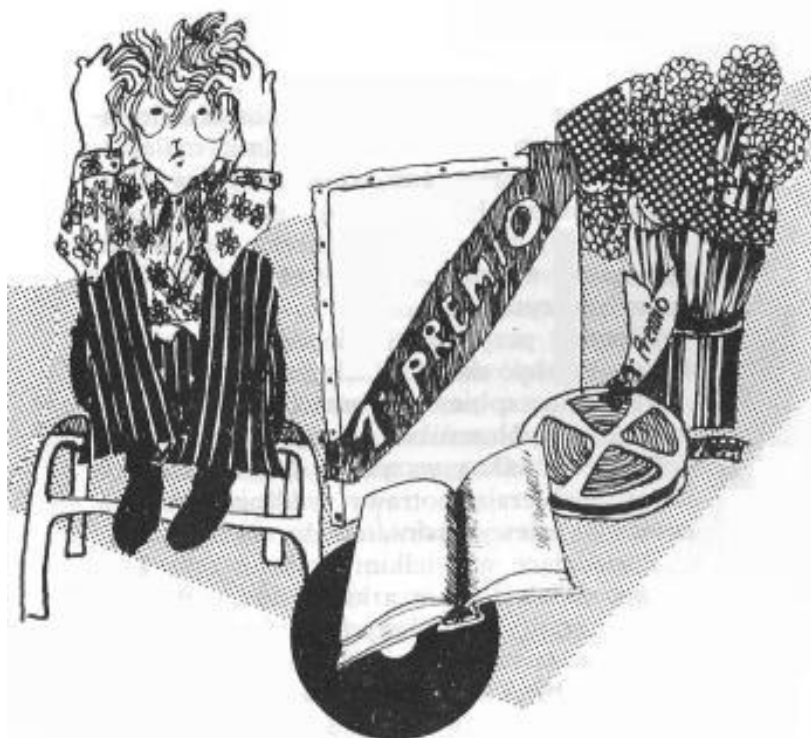
„Może nie tyle dorosły — zastanawiał się w duchu — co rozsądny!”

Nie mógł już znieść głupich filmów, wznecających na widowni zachwyty, budziły w nim odrazę epileptyczne tańce i hałaśliwe przeboje, które wprawiały wszystkich w ekstazę. I jak nie patrzeć z uśmiechem politowania na nowe malarstwo-spray, na płótna spryskiwane rozpylaczami z lakierem? Teraz wszyscy tak malowali, weszło to w modę.

Oswaldo wyrobił sobie swoje własne poglądy: jego zdaniem winny się podobać jedynie rzeczy naprawdę piękne, pełne wyrazu, przemawiające do serca i budzące uczucia, jak na przykład cuda natury.

„Gdy dorosnę — myślał — stworzę właśnie coś takiego i nic się nie będę przejmował, jeżeli nie zdobędę rozgłosu”.

Na razie jednak cierpiał. Nawet gdy zamykał się w domu, dobiegały go zewsząd melodie modnych przebojów Sukcesopola, tego miasta przypominającego wiecznie wzburzone morze, zalewanego gigantycznymi falami nowych gwiazd ekranu i estrady, mód i fanatyzmu.



W dodatku ogłoszono Wielki Konkurs. Reklamowano go wszędzie, nawet w biurach i w szkołach. Wielki Konkurs na wylansowanie nowej mody i nowych aktorów:

„Wszyscy, którzy pragniecie zostać śpiewakami, kompozytorami, reżyserami, malarzami, pisarzami, aktorami, weźcie udział w Wielkim Konkursie!

Pokażcie, co umiecie, a czeka was sława! Stwórzcie nową modę! Stwórzcie coś, co porwie wszystkich!”

Wszyscy przygotowywali się więc do konkursu. Zdobyć sławę: „Och, jakie to piękne!”

„Trudno sobie wyobrazić, ile się pojawi nowych błazeństw! — myślał Osvaldo. — I ludzie przełkną wszystko. A jednak kiedy jedzą, wybierają potrawy według uznania... a tacy są niewybredni, co do reszty!”

Zasiadające w wielkim gmachu jury konkursu, składające się z kilku sekcji, poddało ocenie stertę nadesłanych prac. Zaraz po ukończeniu obrad Przewodniczący Sekcji Malarskiej pobiegł w te pędy do Przewodniczącego Sekcji Literackiej, aby się z nim podzielić sensacyjną wiadomością:

— Odkryliśmy wyjątkowego artystę! To będzie nowa sława! Lansuje rewelacyjny styl w malarstwie, szczyt oryginalności! Pomyślcie tylko, jaki fantastyczny obraz namalował: czyste płótno! Czyściuteńkie, bez jednego pociągnięcia pędzlem, bez jednej plamki farby! Tylko geniusz mógł wpaść na tego rodzaju pomysł!!

Przewodniczący Sekcji Literackiej był nie mniej rozentuzjasmowany:

— Nam się też poszczęściło! Patrzcie tylko na ten cudowny rękopis! —

pokazał triumfalnie czysty, nie zapisany blok. — Pomyślcie, książka składająca się wyłącznie z czystych kartek! W całej historii literatury nikt nie stworzył nigdy takiego dzieła! Czyta się ją jednym tchem, nie istniejący tekst tchnie tajemniczością, pobudza wyobraźnię i nie ma w nim ani jednego błędu!

Obaj udali się z kolei do Przewodniczącego Sekcji Filmowej, by mu przekazać te rewelacyjne wiadomości. Był właśnie w sali projekcyjnej i na ich widok zawołał:

— Przychodźcie w samą porę! Wyświetlamy film, który uznaliśmy bezapelacyjnie za najlepszy, pierwsza nagroda! To po prostu arcydzieło!

Na ekranie widniało jedynie szarawe światło.

— Co za genialny reżyser! Ten film otwiera nową erę w kinematografii. Nie ma obrazów, treści, aktorów! Widzicie? Cała taśma filmowa jest szara. Będzie go można oglądać setki razy i wciąż będzie nowy: widzów nie znudzi nigdy treść filmu i gra aktorów!

Gratulując sobie wzajemnie, trzej Przewodniczący pobiegli z kolei do Przewodniczących Sekcji Telewizyjnej i Muzycznej. Ci ostatni również nie posiadali się z radości — odkryli dwóch artystów największej miary. Ich dzieła były wstrząsające: godzinny program telewizyjny białego ekranu oraz bezdźwiękowa płyta.

Producenci i wydawcy, poinformowani o wynikach konkursu, byli również w siódmym niebie:

— Wielcy artyści, niespotykani! Należy bić czołem przed nimi! Takich warto lansować!

— Święta prawda! W dodatku ich dzieła nie przysporzą nam żadnych kosztów! Zarobimy miliardy!

— Na co właściwie czekamy? Ogłoście oficjalnie zwycięzców!

Odczytali podpisy na nagrodzonych pracach i zrobili zdumiewające odkrycie: wszystkie podpisane były jednym i tym samym nazwiskiem. Jeden uczestnik Wielkiego Konkursu wygrał wszystkie nagrody.

Wybuchł jeszcze większy entuzjazm, okrzykom nie było końca:

— Wiwat! Niech żyje! Coś przewspaniałego! Sukces będzie tym większy, zawrotny! Skupimy całą reklamę na jednym człowieku. Stanie się on pierwszą, zaćmiewającą wszystkie inne, gwiazdą Sukcesopola!

Nie trzeba chyba dodawać, kto wziął wszystkie nagrody — zwycięzcą był Osvaldo.

Tak mu obrzydły wszystkie obłądy mody i szaleńcza reklama Wielkiego Konkursu, że w przypływie złości postanowił wziąć w nim udział.

„Chcą głupstw? To im pokażę, pošlę coś najidiotyczniejszego, co można sobie wyobrazić. Niechaj się przekonają przynajmniej jurorzy, że jest jeszcze ktoś w Sukcesopolu, kto sobie gwizdże na sukcesy i zamiast oglądać idiotyczne filmy, bzdurne programy telewizyjne, kicze, woli pusty ekran i czyste płótno”.

Oczywiście wcale nie przyszło mu do głowy, że może zostać zwycięzcą konkursu. Tymczasem tłum ludzi przypuścił szturm do jego domu. Wtargnęli do

mieszkania Przewodniczący Sekcji z wszystkimi członkami komisji, wszyscy producenci i wydawcy, dziennikarze i fotoreporterzy.

Potrząsali jego prawicę, ściskali go, całowali.

— Bravo! Nasze gratulacje! Co za geniusz !

— Prosimy o wywiad!

— Proszę się ustawić do zdjęcia! Proszę się uśmiechnąć!

Producenci i wydawcy wciskali mu do ręki pliki banknotów i kontrakty.

— Chcę mieć wyłączne prawa na wszystkie pańskie powieści!

— Musi pan kręcić filmy wyłącznie dla mnie!

Oszołomiony Osvaldo zrozumiał w końcu, o co chodzi: wygrał konkurs i ten rwetes, ci tłoczący się wokół niego ludzie — to był sukces, to była sława. Czy wszyscy postradali zmysły? Czy nie rozumieli, że on po prostu zakpił sobie z nich?

— Precz stąd, zostawcie mnie w spokoju! — krzyknął usiłując się oswobodzić i przepchnąć przez tę ciżbę. — Nie chcę takiej sławy!

Lecz wokół rozległy się okrzyki podziwu:

— Co za skromność, nie chce sławy, rozgłosu! To prawdziwy, wielki artysta. A zarazem nie pozbawiony wyczucia, co to jest reklama! Opublikujemy jego słowa, zrobią ogromne wrażenie na publiczności!

— Jaka znowu skromność! — krzyknął Osvaldo. — Mówię na serio! A teraz wynoście się stąd wszyscy!

— Typowy artysta, ekscentryczny, odrobinę neurasteniczny! Tak właśnie publiczność wyobraża sobie swoje bożyszcza!

Gdy wreszcie Osvaldo został w domu sam, były już w druku dodatki nadzwyczajne: „Wieniec laurowy zdobi skroń nowej sławy! Osvaldo zwycięzcą Wielkiego Konkursu!”

Sukcesopol oszalał na punkcie Osvalda. Młodzież wywalczała sobie pięściami wejście do sal koncertowych, gdzie grano jego bezdźwiękową muzykę, kupowała od koników bilety na dansingi, gdzie tańczono jego „nieruchomy taniec”. Kina były wypełnione po brzegi, wszyscy chcieli podziwiać jego „szary film”, całe miasto oglądało w programie telewizyjnym jego „biały ekran”. Książki z nie wydrukowanymi stronicami szły jak woda, obrazy Osvalda, „białe płótna”, osiągały astronomiczne ceny. Były modne, a biada tym, którzy nie trzymają się mody.

Dzienniki i tygodniki pisały jedynie i wyłącznie o nim, zamieszczały jego zdjęcia, czyli puste miejsca (wymyślono na jego cześć „białą fotografię”).

Ludzie wpatrywali się w te „białe fotografie” i rozmarzeni wzdychali:

— Jaki on piękny, prawdziwy artysta!

Osvaldo nie miał ani minuty spokoju. Na ulicy otaczał go tłum, proszono o autografy, obrywano mu guziki — na pamiątkę, dotykano go. W domu oblegali go dziennikarze, producenci, wydawcy. Prosilili o wywiady, żądali nowych książek, filmów, obrazów. Listonosz przynosił mu worki listów: tysiące dziewcząt proponowało mu małżeństwo. Jeden z wydawców, by zaspokoić popyt

na autografy, rzucił na rynek białe bileciki, które ludzie wręcz rozdrapywali.

„Nie napisany autograf Osvalda!” Kolekcjonerzy, którym udało się wejść w jego posiadanie, przechowywali go troskliwiej niż czek opiewający na milion.

Nieszczęsny Osvaldo był u kresu sił. Nigdy jeszcze Sukcesopol nie wydawał mu się tak szalony. Ilekroć protestował, że nie jest artystą, że po prostu zakpił sobie ze wszystkich, budził tym większy entuzjazm rzeszy swoich wielbicieli.

Próbował przepędzić ich kopniakami, ale ci, których dosięgnął butem, biegali po całym mieście krzycząc triumfalnie:

— Patrzcie, tu mnie kopnął Osvaldo!

Nie mógł żyć dalej w tym domu wariatów. Nie chciał też brać udziału w tej mistyfikacji. Był poważnym chłopcem, kochał sztukę. Brzydził się tego rodzaju sławą. Całą duszą pragnął, by go zostawiono w spokoju.

Pewnej nocy wymknął się z domu jak złodziej. Opuścił miasto i wdrapał się na wysoką górę. Nie zamierzał powrócić do Sukcesopola, nie chciał się zarazić tą groźną epidemią. Postanowił prowadzić pustelnicze życie, z dala od owej zgrai szaleńców, nie słuchając radia, nie oglądając telewizji, nie czytając prasy.

Wymościł sobie legowisko w grocie.

„Tu przynajmniej będę sam — pomyślał. — Czas będzie mi upływał na rozmyślaniach”. I zasnął szczęśliwy.

O świcie wyszedł z groty i przeciągnął się z rozkoszą. Miał nad sobą czyste, jasne niebo i wesoło latające ptaki. Nad zielenią krzewów szumiały drzewa, nie opodal przepływał strumyk — prawdziwa poezja natury. Tu czeka go szczęście; przebywając z dala od szaleństw Sukcesopola, nie będzie już niewolnikiem niepożądanego sławy.





— Ach, jakie to piękne — powiedział, i tym razem wszystko dokoła było naprawdę piękne.

Natychmiast jednak zagrzmiało ogłuszające echo:

— Ach, jakie to piękne!

Oswaldo wzdrygnął się. Echo? Nic podobnego, to był chór — nie echo. Z grot, z krzewów, spoza kamieni wyłaniały się pełne podziwu twarze, las rąk wyciągnął się ku niemu, przesyłając mu pocałunki. Zbocze góry mrowiło się od ludzi: cała ludność Sukcesopola — odkrywszy ucieczkę Oswalda — ruszyła cichaczem w ślad za nim i zaczęła się w pobliżu jego grotu.

— Jaka piękna jest ostatnia moda, Oswaldo! — zabrzmiały okrzyki. — Jakie to piękne prowadzić z tobą pustelnicze życie! Jakie to piękne!

Wszyscy cisnęli się do niego, pożerając go oczyma. Ktoś wziął się na odwagę i poprosił go o autograf („pierwszy jako pustelnika!”), ktoś inny oberwał mu guzik.

Do pierwszego rzędu przepchnął się jeden z dziennikarzy z notesem w rękę.

— Proszę mi opowiedzieć swoje pierwsze wrażenia z życia w pustelni. Jak wpadł pan na pomysł tej nowej mody?

Ludzie tłocząc się coraz bardziej krzyczeli rozentuzjasmowani:

— Przyglądajcie się uważnie wszystkiemu, co on robi: my też musimy robić to samo!

— Tak, to ostatnia moda!

— Jakie to piękne!

Pod Oswaldem ugięły się kolana i usiadł na kamieniu, zrozpaczony, ze łzami w Oczach.



# **MILITARIOPOLIS**





## Kariera wojskowa

W krajach cywilizowanych (jak na przykład w Poezjogrodzie, w Architektonii, Rafaelowie) chłopców, którym marzy się kariera wojskowa, zabiera się do kina.

— Marzysz o karierze wojskowej? No to obejrzyj ten film dokumentalny.

Gaśnie światło w pustawej sali i na ekranie pojawia się Militariopolis, raj dla żołnierzy, kraj, w którym każdy chce być wojskowym. Film zaczyna się od panoramicznego widoku miasta, w którym wszędzie widać koszary. Jest świt, grają na trąbce pobudkę i wciągają chorągiew na maszt.

Zaludniają się ulice, wszyscy są w mundurach: szkolnych, robotniczych, urzędniczych, pielęgniarskich i w tych najbardziej podziwianych — wojskowych. Na powitanie wszyscy salutują, ręce podnoszą się i opadają jak za pociągnięciem sznurka. Trzy razy dziennie, gdy defiluje orkiestra ze sztandarem, wszyscy — jak

jeden mąż — stają na baczność.

Porozlepiane wszędzie afisze utrzymują karność wśród obywateli: „Milcz! Wróg cię słyszy!”, „Wstęp wzbroniony! Strefa Wojskowa!”, „Przejazd tylko dla czołgów!”. Patrole trzymają pod obserwacją ludzi, którzy nie stają na baczność, fabryki są obstawione karabinami maszynowymi, wartownicy-portierzy pytają o hasło.

Aleją maszeruje paradowym krokiem pluton umundurowanych dzieci: są to uczniowie, którzy idą do szkoły śpiewając chórem:

Raz, dwa! Musi uczniem być wzorowym,  
Kto chce dobrym być wojskowym.

To młodzież zahartowana, która nie lubi się cackać: żadnych pieszczot z rodzicami, na dzień dobry i na dobranoc salutuje ojcu i matce i nie odpowiada im „tak”, tylko „tak jest”. Młodzież ta — jak mówi komentarz filmowy — nie traci czasu na czytanie, na marzenia, na zabawę.

W Militariopolis naukę traktuje się poważnie. W klasach królują gigantyczne portrety Wielkiego Marszałka. W szkole powszechnej uczą nauczyciele-porucznicy, w gimnazjum kapitanowie, w liceum pułkownicy. Nie traci się czasu na zaznajamianie uczniów ze sztuką, poezją i tym podobnymi głupstwami, uczy się ich tego, co jest naprawdę w życiu potrzebne.

Film przedstawia lekcję nauczyciela-porucznika „Jak zasztyletować wartownika nie robiąc hałasu”, i lekcję nauczyciela-kapitana „Co jest skuteczniejsze w działaniu, napalm czy bombardowanie dywanowe?”

Potem ukazuje się na ekranie Centralne Muzeum w Militariopolis. Jego zbiory zawierają wszystko, co pięknego i pożytecznego stworzył przez wieki człowiek, poczynając od maczugi, dzidy, luku i szpady, a kończąc na armacie, czołgu i bombowcu, które przyniósł postęp cywilizacji. Ukoronowaniem owej kolekcji jest sala poświęcona bombie wodorowej, w której olbrzymi napis wyraża hołd uczonym: „Czczymy ich za to, że wkład ich pracy oddał w ręce generałów najwspanialszy wynalazek w dziejach świata — bombę wodorową”.

— Oczywiście — objaśnia komentator — w Militariopolis nie istnieją tego rodzaju przeżytki, jak biblioteki, muzea malarstwa, rzeźby itd. Wytępiliśmy doszczętnie wszystkich nieprawomyślnych ludzi, jak artyści, sabotażyści, którzy mówią o miłości i pokoju. Nasza młodzież rośnie, na szczęście, nieskażona, przepojona zdrowymi ideałami nacjonalistycznymi!

Tu następują sceny ukazujące młodych, którzy po ukończeniu Akademii Militarnej mogą się wreszcie poświęcić upragnionej karierze wojskowej. Reżyser przeprowadza wywiad ze świeżo upieczonym podporucznikiem :

— Jakie jest twoje największe marzenie?

— Bić się na wojnie za ojczyznę!

— Wytłumacz, dlaczego?

— Tu nie ma nic do tłumaczenia — dumnie odpowiada młodzieniec. — Na wojnie trzeba się bić i ślepo wykonywać rozkazy, a nie dyskutować. Poza tym wojna ma tę dobrą stronę, że szybciej można awansować.

Następna scena poświęcona jest kobietom. Krótka to scena, bo w Militariopolis lekceważy się kobiety; mogą być co najwyżej siostrami miłosierdzia albo zaciągnąć się do służby pomocniczej, słowem — niewielki z nich pożytek. Nabierają one pewnego znaczenia dopiero wówczas, jak obwieszcza komentarz, gdy na uroczystej ceremonii otrzymują tytuł „wojennych wdów i sierot”. Wielki Marszałek we własnej osobie dekoruje wdowy i sieroty medalami. Za każdego poległego syna — jeden medal. Za męża — Krzyż Wojowników.

Film kończy się, oszołamiającą niczym pokaz ogni sztucznych, paradą wojskową. Widać wojsko w akcji. Niezliczone armaty strzelają, bombowce bombardują, piechota rusza do ataku wspierana koszącym ogniem karabinów maszynowych. Odbywa się to wszystko przy dźwiękach hymnu, sceny zmieniają się jak w kalejdoskopie. Na ekranie pojawiają się kolejno: Wielki Marszałek zagrzewający do walki okrzykiem „Naprzód, bohaterowie! Chwała wam!”, partyzanci na szubienicach, zbombardowane po mistrzowsku przez samoloty Militariopolis oraz (pokazane chyba przez pomyłkę) olbrzymie cmentarze wojskowe. Po czym pojawia się ponownie Wielki Marszałek, który wskazując palcem na widownię, woła: „Ojczyzna czeka na ciebie!”

Tymi słowami kończy się film dokumentalny.

— No więc — zapytuje chłopca osoba towarzysząca, gdy zapalają się światła — kim chcesz być, kiedy dorośniesz?

Nie ma odpowiedzi: dziecko uciekło.



**Paolo powiedział: nie**  
Bajka w trzech aktach

**Akt I**  
**Największy zaszczyt**

Wielki Marszałek obwieścił z balkonu swojego pałacu, że smutny okres pokoju skończył się nareszcie i że wypowiedział nową wojnę. Mówił do uszeregowanych na placu żołnierzy i do zgromadzonych dokoła nich rodzin. Ojcowie (nieliczni, bowiem większość poległa na poprzednich wojnach) byli

wszyscy inwalidami, wszystkie kobiety nosiły żałobę po mężu, po synu czy po bracie. Na ich czarnych sukniach lśniły medale-odznaczenia.

— Bohaterowie! — zawołał Wielki Marszałek. — Czekajcie was sława! Zgładźcie wroga, zrównajcie z ziemią jego domostwa, spalcie jego plony! Tak chce ojczyzna. Czy odpowiecie na jej zew?

— Tak jest! — krzyknęli chórem żołnierze.

— Matki, ojcowie, siostry! — ciągnął dalej Wielki Marszałek. — Będziecie mieli największy zaszczyt oddać ojczyźnie waszych synów, mężów i braci. Czy napawa was to dumą?

— Tak! — zawołały kobiety w żałobie.

— Dumny jestem z ciebie, o ludu Militariopolis! — Lecz nagle Wielki Marszałek groźnie zmarszczył czoło i wskazał palcem na jedną z kobiet w tłumie. — Dumny ze wszystkich z wyjątkiem jednej osoby: matki, która nie wychowała syna w świętej miłości ojczyzny!

Wytrzeszczone ze zdumienia oczy wszystkich zwróciły się na matkę Paola, ona jednak nie schyliła głowy.

Skupione na niej spojrzenia wyrażały głęboką pogardę. Ta kobieta też była w żałobie, straciła na wojnie męża i brata i nie chciała ich pomścić. Wielki Marszałek miał słuszność: była niegodna Militariopolis.

Zabrzmiały fanfary i rozpoczęła się parada oddziałów wyruszających na wojnę.

Gdy tłum zaczął się rozchodzić, wszyscy trzymali się z daleka od owej kobiety, jak gdyby była nosicielką zarazy. Ich najbliżsi szli na wojnę wypełnić święty obowiązek, a Paolo, jej syn, zdezerterował.

Od tej pory nikt nie zamienił z nią ani słowa.

## **Akt II**

### **Paolo i generałowie**

Wielki Marszałek wezwał do pałacu najwyższą władzę, czyli naczelne dowództwo. Wojsko było zdziesiątkowane, lecz okupowało część terytorium nieprzyjaciela. Wróg bronił się zaciekle, wojna jednak mogła być jeszcze wygrana, ale potrzebni byli nowi żołnierze. Wszyscy wyrazili zgodę, aby powołać pod broń piętnastoletnich chłopców.

Znakomicie, nowe wojsko, nowe buty, nowa gloria dla Militariopolis. Wzniesli toast na cześć niechybnego zwycięstwa.

— Możemy być dumni z naszego ludu — rzekł Wielki Marszałek. — Odwieczne bojowe tradycje naszego kraju nie wymierają. Powinszowania należą się przede wszystkim wam, moi generałowie, przykład bowiem zawsze idzie z góry.

— Mamy istotnie zdrową i uczciwą młodzież — oświadczył generał



przydzielony do grabieży na okupowanych terenach. — W Militariopolis nie ma kradzieży. Dzięki naszemu wojskowemu wychowaniu nie mamy złodziei.

— Ani morderców! — dorzucił inny generał, komendant Brygady Śmierci, oddziałów szturmowych, które miały za zadanie przebijać sztyletami wartowników i razić nieprzyjaciela miotaczami ognia.

— To miłość ojczyzny — powiedział generał, którego zadaniem było tępienie ruchu oporu na okupowanych terenach — miłość ojczyzny rozplomienia wszystkich naszych ludzi. Nasi chłopcy w sposób godny podziwu przeprowadzają, spełniając mój rozkaz, obławy na partyzantów.

Wszedł oficer i szepnął coś do ucha Wielkiemu Marszałkowi. Ten uderzył pięścią w stół i huknął:

— Dawać mi tu tego łajdaka!



Dwóch żołnierzy wprowadziło skutego w kajdanki Paola. Gdy stanął w swoim wyszarzałym cywilnym ubraniu przed generałami w pompatycznych mundurach ze lśniącoymi orderami, wyglądał jak przybysz z innej planety.

— Jesteś hańbą Militariopolis! — wrzasnął Wielki Marszałek. — Jesteś czarną owcą!

Paolo słuchał spokojnie, jego niebieskie oczy miały pogodny wyraz.

— Dlaczego zdezerterowałeś?

— Z trzech powodów — odrzekł Paolo. — Nie chcę zabijać, nie chcę rozstrzeliwać, nie chcę rabować.

Generałowie osłupieli. Na chwilę zaległo milczenie.

— To zbrodniarz! — krzyknął komendant Brygady Śmierci.

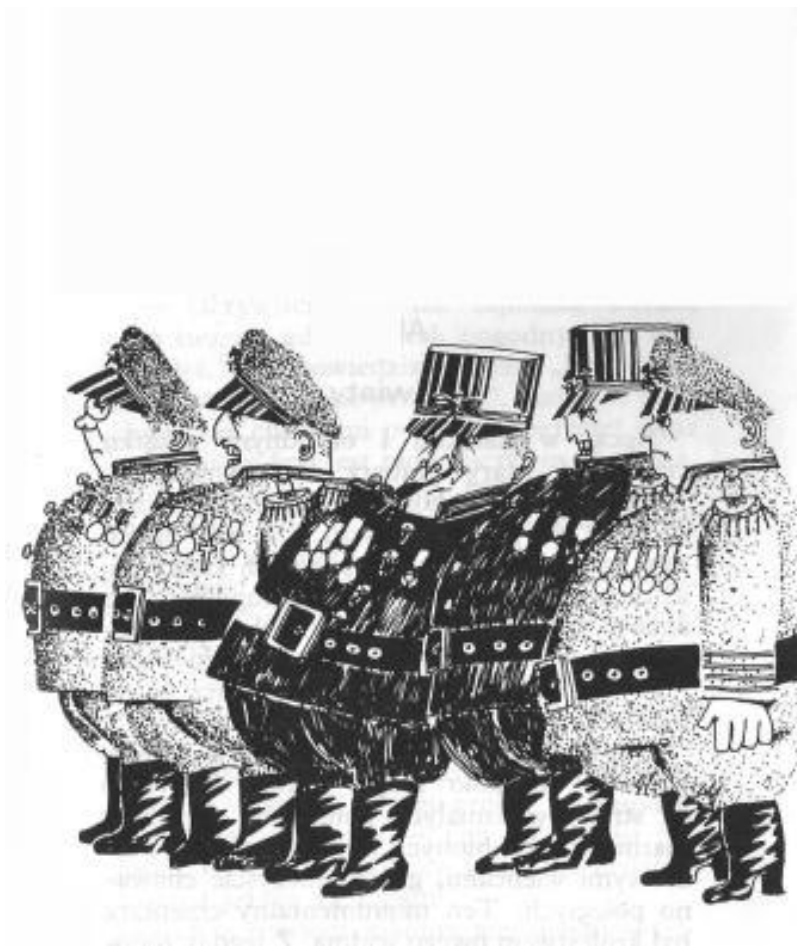
— A jaki przy tym nieuczciwy! — powiedział generał, wyspecjalizowany w

grabieży.

— I nie kocha ojczyzny! — zawołał generał prowadzący walkę przeciw partyzantom.

Paolo milczał, jego niebieskie oczy nie traciły wyrazu pogody, aż w końcu Wielki Marszałek powiedział, a raczej wrzasnął:

— Rozstrzelać go!



### **Akt III**

#### **Kwiaty**

Nocą, w dalekim i odludnym zakątku cmentarza, stary grabarz zasypywał grób. Nie było tam pikiet honorowych ani flag opuszczonych do połowy masztu, ani werbli, ani salw jak na pogrzebach wszystkich zmarłych, a raczej poległych w Militariopolis. Ten zmarły, hańba Militariopolis, miał być pochowany cichaczem, po kryjomu. Był to Paolo i nie pozwolono przyjść na cmentarz nawet jego matce.

Gdy stary grabarz kończył zasypywać grób, pojawiło się koło niego widmo. Przybyło od strony wspaniałych pomników z białego marmuru, ozdobionych trofeami z brązu i laurowymi wieńcami, gdzie uroczyście chowano poległych. Ten monumentalny cmentarz był królestwem owego widma. Z jego oczodołów

wyzierała gorączkowa zachłanność, wpatrywało się niemal z nienawiścią w świeżo zasypany grób.

— Dlaczego tak patrzysz na jego grób? — zapytał nieśmiało grabarz.

— To nie był mój przyjaciel — odpowiedziała zjawa. — Wszyscy w Militariopolis są moimi przyjaciółmi z wyjątkiem jego jednego. Wiesz, że ja nie lubię czekać. To byłaby męka wyczekiwać w latach pokoju, aż młodzi dorosną, aż się zestarzeją, śpieszy mi się: chcę ich wszystkich, szybko, młodych jak świeżo rosnąca trawa.

— On przecież już jest twój.

— Oczywiście, ale nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy umierał, pogodny, bez nienawiści, nie powiedział nawet „Pomścijcie mnie” czy „Bądźcie przeklęci”. Nawet w owej chwili nie chciał mi pomóc. A przecież wasz wojowniczy kraj jest moim oczkiem w głowie. Lecz ten oto obywatel Militariopolis był inny niż wszyscy; umarł bez nienawiści, nie wołając o pomstę.

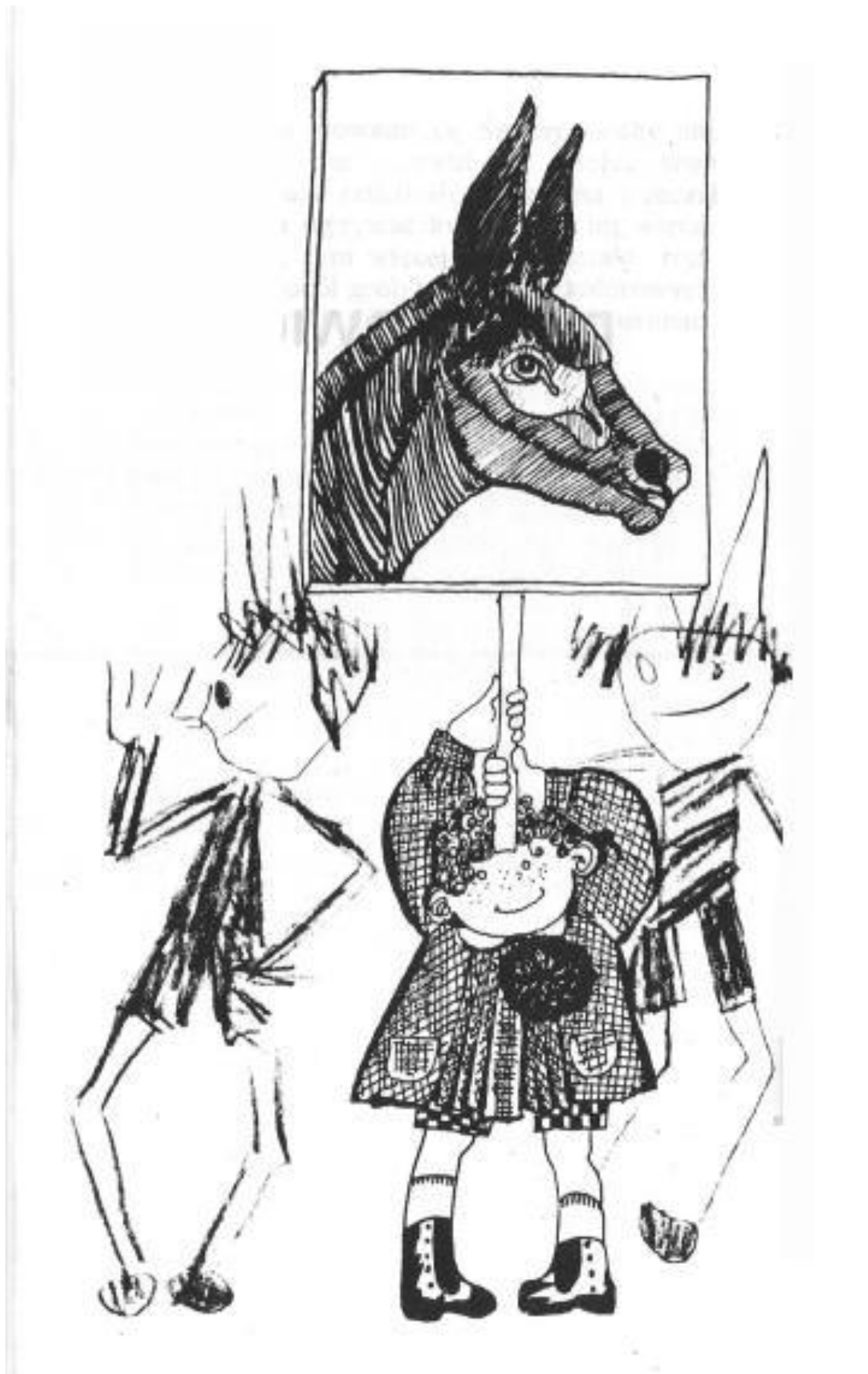
Grabarz stał z łopata w ręku nie odważając się pisać ani słowa. Zjawa drżała przejęta grozą.

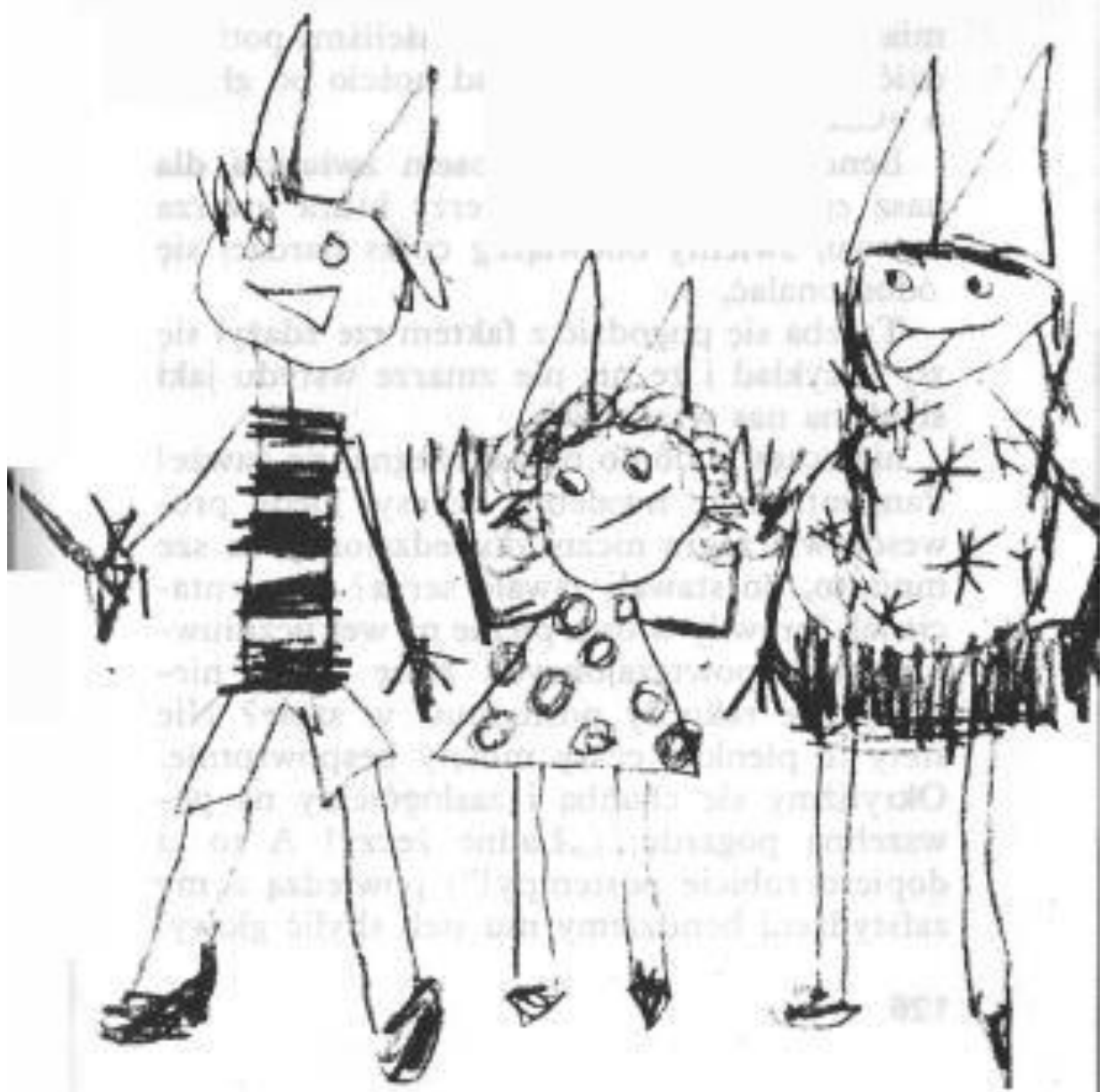
— Biada, gdyby ktoś chciał go naśladować — rzekła. — Nie, nigdy, wszyscy muszą o nim zapomnieć! Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jest pochowany. Ani jeden kwiat nie śmie wyrosnąć na jego grobie! — Tupnęła nogą, deptając trawę. — Ten grób musi pozostać nieznanym! Biada ci, jeżeli nie będziesz trzymał języka za zębami!

— Nie powiem nikomu ani słowa! — odrzekł grabarz, zdrętwiały ze strachu.

Zjawa znikła i po chwili grabarz zobaczył ją krążącą między grobami wojskowych, w tym królestwie, którym nie mogła się nasycić. Lecz gdy grabarz odwrócił się, osłupiał. Wszędzie dokoła grobu Paola wyrosły kwiaty. A przecież Wielki Marszałek rozkazał — tymi samymi słowami co Śmierć — aby ani jeden kwiat nie ośmielił się zdobić tego grobu. Grabarz rzucił się na kolana i zaczął w pośpiechu wyrywać kwiaty, ale im więcej ich wyrywał, tym więcej ich wyrastało: rozścielały się wokół grobu dywanem kolorowych płatków, których nikt nigdy nie zdołał usunąć.

# DWÓJKOWICE





## Dodatek nadzwyczajny

Wycinek z „*Oślego Ryku Dwójkowic*” :

„Straszne wydarzenie wstrząsnęło naszym miastem. Z wielkim bułem muśeliśmy potfierdzić kronżonce miendzy lud nościo po głoski o »Czarnej Kokardze«.

Bendzie to ciężskim ciosem zwłażcza dla nasz ej wzpaniałej młodzierzy ktura uwarza za swuj świenty obowiązeg coras bardziej się ódoskonałać,

Tszeba się pogodzić z faktem rze zdążył się zły pszykład i że nic nie zmarze wstydu jaki sbadł na nas wrzystkich.

nieszczęsna dómo nasza, rzegnaj na zawże! Pamientacie te hwalebne czasy, giedy prowesorowie zagra niczni otwiedzajoncy na sze mniasto, do stawali zawało serca? Pamientacie jak fprawily w osłu pienie na wet uczniuw-turystuw, powtażajoncych klasę nasze niespotykane rekordy postenpuw w szole? Nie stety te pienkne czasy minęły bospowrotnie. Okryliżmy się chańbą i zasłógójemy na powszehną pogardę: („Ładne żeczy! A to ci dopiero robicie postempy!”) powiedzą a my zafstydzeni bendziemy mu sieli shylić głowy.

Jerzeli na wet piuro w zbrania się pisać, nasz ym dziennikarski obowionzkiem jest pszedztawić tragiczny fagt jaki się wydażył.

»Czarna Kokarda« synbol i dóma nasz ego mniasta, dziś o gocinie 12 minót 57...”

Co tak straszego wydarzyło się w Dwójkowicach? Informacje na ten temat podaje dalszy ciąg artykułu zamieszczonego na łamach „*Oślego Ryku Dwójkowic*”. Ponieważ nie jesteście obywatelami tego miasta i nie znacie dobrze jego języka, przetłumaczymy wam ten tekst na język polski.

## Czarna Kokarda

Alfredo otworzył oczy, ziewnął i przeciągnął się na łóżku. Jego siostra, już ubrana, wkładała podręczniki szkolne do teczki.

— Jest jeszcze wcześniej, Alfredo — powiedziała — dopiero dziesiąta. Zaledwie dwie godziny spóźnię się do szkoły. Widzisz? Słońce już zachodzi na północy.

Alfredo popatrzył na nią z politowaniem i odpowiedział tylko jednym słowem:

— Kretynka.

Siostra zaczęła płakać: lubiła robić z siebie ofiarę.

— Dlaczego zawsze musisz mnie obrażać? Ja też mam swoją godność. Wiem, wiem, masz czarną kokardę, jesteś oczkiem w głowie rodziców, nauczycieli, wszyscy cię podziwiają, ale to jeszcze nie powód, żebyś mnie zawsze źle traktował.

Nie warto z nią dyskutować, miała kurzy mózdzek.

— Idź już, idź — powiedział jej. — Ciao. — I na szczęście poszła.

Alfredo wstał, powoli zjadł śniadanie i umył się. Włożywszy szkolny fartuch, stał długo przed lustrem wpatrzony w przypiętą na piersi czarną kokardę. Była naprawdę prześliczna, z miękkiego lśniącego jedwabiu, elegancko związana. Ile trudu kosztowało go jej zdobycie. Teraz wszyscy spoglądali na niego z zazdrością: matki pożerały go oczyma, gdy szedł ulicą wszystkie dzieci milkły na jego widok, wlepiając pełen podziwu wzrok w tę czarną kokardę. Był kimś, mógł patrzeć z góry nie tylko na siostrę, ale na wszystkich, nawet na dorosłych.

Zszedł po schodach na parter. Spotkał po drodze portiera, który stał w progu portierni, pod tabliczką z napisem „Portjernja”. Alfredo, jak zawsze, rzucał wzgardliwe spojrzenie na ten napis z dwoma błędami ortograficznymi.

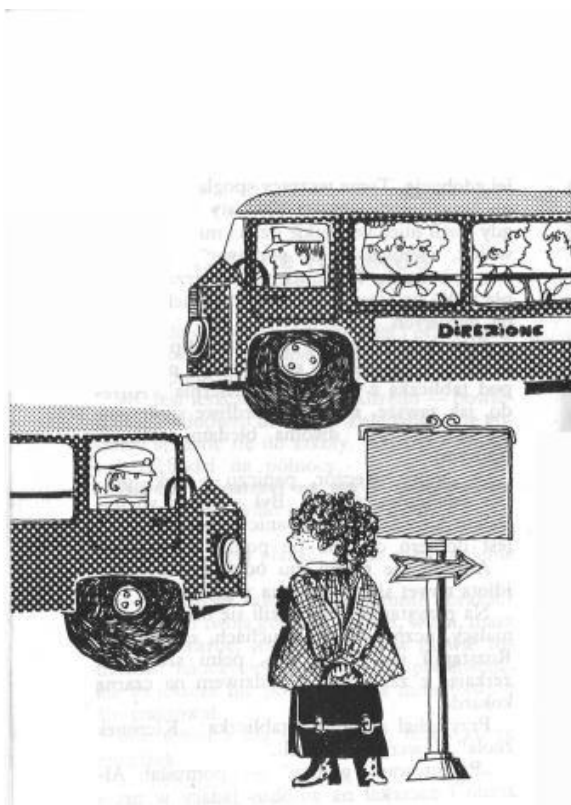
— Dobry wieczór, paniczu — rzekł portier zdejmując czapkę. Był wielkim wielbicielem Alfreda. — Dziś panicz wcześniej wstał, jest dopiero czwarta po południu.

Alfredo nie raczył mu odpowiedzieć: ten idiota nawet się nie znał na zegarze.

Na przystanku gromadzili się ostatni spóźnialscy, uczniowie w fartuchach, z teczkami. Rozstąpili się przed nim, pełni szacunku, zerkając z zazdrością i podziwem na czarną kokardę.

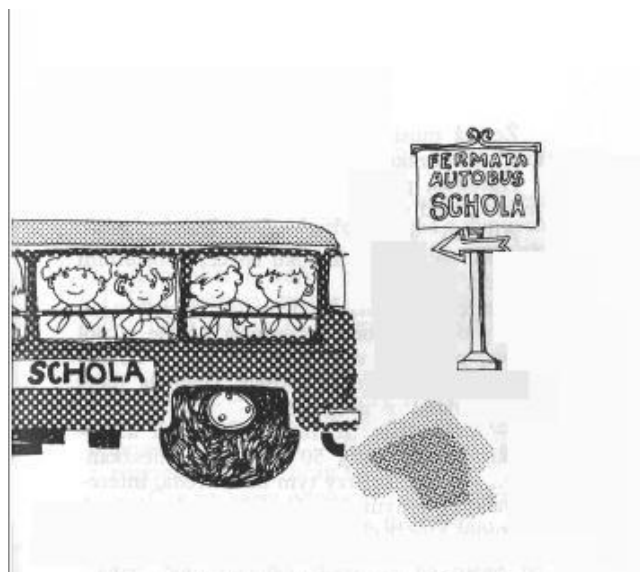
Przyjechał autobus z tabliczką: „Kierónek źkoła”, i wszyscy wsiedli.

„Patentowani głupcy” — pomyślał Alfredo i zaczekał na autobus jadący w przeciwnym kierunku. Podał stulirową monetę konduktorowi: bilet kosztował 50 lirów. Ten wydał mu 80 lirów reszty.





Konduktor nie umie liczyć! Jak można zatrudniać ludzi, którzy nie potrafią nawet wydać reszty.



Alfredo siadł przy oknie i wyglądał na ulicę.

Na chodniku, przy straganie z owocami, reklamowała swój towar przekupka:

— Ludzie, kupujcie! Piękne brzoskwinie! Po 250 kilo za lira!

„Uff, na pewno prosta kobieta ze wsi, sama nie wie, co mówi”.

Autobus skręcił teraz na ulicę, gdzie znak drogowy zabraniał przekraczać szybkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Przed oczyma Alfreda mignął jadący pełnym gazem wóz, który zderzył się na zakręcie z samochodem nadjeżdżającym z przeciwnej strony.

Było to poważne przekroczenie przepisów ruchu. Oburzony Alfredo, wychyliwszy się przez okno, krzyknął:

— Ośle, kto ci dał prawo jazdy?

Że też musiał żyć w takim mieście, gdzie każdemu brakowało piątej klepki...

Autobus, po okrążeniu całego miasta, zajechał przed szkołą parę minut po dwunastej.

Alfredo wszedł do klasy nachmurzony i usiadł na stojącej z boku ławce, w ostatnim rzędzie.

Przejęta jego przybyciem nauczycielka, jak gdyby onieśmielona, przerwała zdanie w pół słowa, po czym wzięła na odwagę i, oblana pąsem, przyciszonym głosem ciągnęła dalej swój wykład z geografii: —

— ...mówiłam, że Italia ma kształt marynarki, Neapol liczy 50 milionów mieszkańców... — zerknęła przy tym na Alfreda, interesowała ją jedynie jego reakcja, na innych uczniów, którzy chichotali, nie zwracała uwagi.

Alfredo, pobłażliwy, wykonał zachęcający gest: niechaj mówi dalej, on jest wyrozumiały, wie, że nauczycielka robi, co może. Nieznośni byli natomiast koledzy. Wszyscy po dwa, trzy lata powtarzali klasę i pozwalali sobie na

drwiny! Aż wstyd być w takiej klasie!

Rozprostował i wygładził kokardę, aby była bardziej widoczna. On, jej zdobywca, mógł patrzeć z góry na marność tego świata.

Tymczasem nauczycielka przeszła do pytania uczniów. Wywołała do tablicy jednego z nich i powiedziała:

— Ile to jest  $348+127$ ?

Uczeń zaczął dodawać, gryzmołił, przekreślał. W końcu napisał: 486.

Nauczycielka rozzłościła się:

— Wstyd! Prawie zgadłeś! Daję ci trójkę z plusem!

Uczeń zaczął popłakiwać:

— Proszę pani... proszę mnie pytać dalej, na pewno lepiej odpowiem.

— To byłaby tylko strata czasu. Wiesz, jaką będziesz miał cenzurę? Trójka z minusem z arytmetyki, dwójka z geografii, czwórka z zachowania i trójka plus z włoskiego!

„Jaka straszna cenzura — pomyślał Alfredo — takie stopnie to po prostu wstyd i hańba”.

— A teraz, chłopcy, uważajcie — rzekła nauczycielka. — Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte, możecie się wiele nauczyć. Będzie odpowiadał Alfredo. — Spojrzała na niego z rozrzewnieniem, oczy jej rozbłysły.

— Czy zechcesz odpowiedzieć na kilka pytanek, Alfredo? Nie? No to chodź.

Alfredo łaskawie wstał i podszedł do katedry. Nauczycielka życzliwie na niego patrzyła.

— Alfredo, umiesz tyle — rzekła — powiedz mi więc, co to jest kwadrat?

Alfredo podrapał się w nos, skupił się. Nauczycielka tak się do niego przymilała, a jednak zdradziecko zadała mu trudne pytanie. Należało się dobrze zastanowić. Namyślał się rzeczywiście bardzo długo, po czym powiedział:

— Nigdy go nie jadłem.

Nauczycielka westchnęła.

— Powiedz mi wobec tego, co to jest Nowy Jork: rzeka czy jezioro?

Znowu podchwytliwe pytanie. Było jasne, że zawzięła się dziś na niego. Nie upadł jednak na duchu i po dłuższym namyśle odparł:

— Co mnie to obchodzi, czy to rzeka, czy jezioro?

— Ostatnie pytanie: wymień sławną bitwę wygraną przez Napoleona.

Jeszcze jedna pułapka. Zauważyli to również inni uczniowie i próbowali mu podpowiadać:

— Kanny... Termopile...

Niekoleżeńscy, chcieli mu podsunąć fałszywą odpowiedź. Ale on nie był taki głupi, za wiele trudu kosztowało go zdobycie czarnej kokardy.

— No więc? — rzekła z wyraźną niecierpliwością nauczycielka.

Lecz Alfredo znalazł już odpowiedź:

— A kto to był Napoleon?

Twarz nauczycielki rozjaśniła się radością: można było wyczytać w jej oczach, że z przyjemnością uściskałaby Alfreda.

— Dwója! — zawołała triumfalnie. — Daję ci dwóję! Brawo!

Potem zwróciła się do klasy:

— Słyszeliście? Bierzcie przykład z niego, dumy naszej szkoły, chluby Dwójkowic! Alfredo jest superosłem, głupcem do kwadratu, arcyrepetentem! Ma 13 lat i jest jeszcze w pierwszej klasie! Powtarza ją po raz szósty! I nie robi tak jak wy: on powtarza klasę, lecz nie uczy się nigdy. I nie zdarza mu się popełnić takiego błędu, aby prawie... odgadnąć. Nawet nie próbuje! Bo nic nie umie, nic a nic! Także w tym roku będzie pierwszy z was wszystkich: niepromowany, z samymi dwójami! Jego cenzury nie zepsuje żadna trójka czy trójka z minusem! Nigdy nikt nie będzie mógł mu dać promocji! Brawo, Alfredo, mieć takiego ucznia jak ty to największa pociecha dla nauczycielki!

Alfredo wrócił na swoje miejsce nieczuły na te pochwały. Uznanie tego rodzaju nauczycielki ani go grzało, ani ziębiło; nie dorównywała mu ignorancją, sama wiedziała o tym lepiej, i dlatego czuła się wobec niego onieśmielona. Biedaczka, myliła się, ale prawie odgadywała. Wiedziała nawet, że Italia jest stolicą.

Tymczasem koledzy patrzyli na niego jak zawsze z podziwem i zazdrością. Wszyscy chcieliby mu odebrać honorowe miejsce na oślej ławce. Łudzili się, nieboracy, że zdmuchną mu sprzed nosa czarną kokardę, to trofeum, tę nagrodę dla największego głupca Dwójkowic. Wcale mu to nie imponowało, że ma tego rodzaju konkurentów. Nie mogli z nim współzawodniczyć, byli wszyscy co najwyżej osłami. Nikt w Dwójkowicach nie mógł się z nim równać. Na przykład jego siostra, ta bezmyślna istota, chodziła do szkoły na dziesiątą zamiast na dwunastą jak on. A ten portier, który się nie znał na zegarze, „dochodzi czwarta” powiedział, a tymczasem powinna była być już co najmniej północ. Napisał „Portjerjnja” i wcale się nie wstydził, że zrobił tylko dwa błędy. „Fortjerjnja”, tak trzeba było napisać.

Przypomniał sobie tych półgłówków, spóźnialskich na przystanku, którzy się pomylili i pojechali autobusem w kierunku szkoły, i tę przekupkę, co sprzedawała „po 250 kilo za lira”, zamiast samej płacić klientom. Potem tego kierowcę, który przy znaku drogowym sygnalizującym ograniczenie do 40 kilometrów szybkości dodał tylko gazu, zamiast jechać zygzakami po chodniku. Szczęściem zdążył mu krzyknąć: „Ośle, kto ci dał prawo jazdy!”

Co za upokorzenie dla geniusza ignorancji żyć w środowisku ludzi tak ograniczonych: same głuptasy, głuptaski, a trafiali się i tacy, którzy byli prawie wykształceni!

Wszedł do klasy Kierownik i Alfredo zobaczył ze zgrozą, że kilku uczniów wstało. Wstyd i hańba, nauczyli się nawet dobrych manier.

Kierownik przyszedł naturalnie tylko ze względu na niego, Alfreda.

— Jak się spisuje nasz Alfredo? — zapytał.

— Jak najgorzej — odrzekła rozpromieniona nauczycielka. — Musiałam mu dać jeszcze jedną dwójkę, w pełni zasłużoną. Nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie.

— Cieszy mnie to — powiedział Kierownik. — Rób tak dalej, Alfredo, a nikt nie odbierze ci nigdy tej zaszczytnej odznaki. — Tu wskazał uroczyście czarną kokardę.

Pochwały Kierownika szkoły pochlebiły mu: ten pedagog był przynajmniej słynnym analfabetą.

— Powiedz mi szczerze — rzekł Kierownik — czy masz jakiś swój sekret, że zawsze jesteś taki genialny?

— To bardzo proste — odpowiedział Alfredo — nie uczę się nigdy, wyleguję się do południa w łóżku, nigdy nie uważam na lekcjach.



— Brawo! Twoja siła woli jest godna podziwu. I ja mam syna, patentowanego osła, ale daleko mu do ciebie. Zawsze stawiam ciebie za przykład synowi, aby podrażnić jego ambicję. Widzisz, mówię mu, nasza czarna kokarda, nasza chluba, nigdy nic nie rozumie, tobie natomiast przytrafia się to od czasu do czasu. I czy uwierzysz, że ten chłopak wcale mnie nie słucha, a nawet czasem sarka: „Czarna kokarda i czarna kokarda, a kto to w ogóle jest ta czarna kokarda?”

Alfreda ubodło to do żywego.

— Nie ma już szacunku na świecie — rzekł gorzko — robię nadludzkie wysiłki, aby być godnym czarnej kokardy, a oto nagle pojawia się ktoś, kto nie podziwia mnie jako największego głupca Dwójkowic.

— No — powiedział Kierownik — mam nadzieję, że nie jesteś tego pewien.

— Jak to: nie? — sprzeciwił się Alfredo. — To jedyna rzecz, jaką zrozumiałem, że jestem największym głupcem w całych Dwójkowicach!

— Co takiego? — zawołał Kierownik, osłupiały.

— Tak, a nie inaczej — obstawał przy swoim Alfredo — nie jestem ślepy. Rozumiem doskonale, że błędy innych są zawsze mniejsze niż moje, co dowodzi niezbitcie, że oni są mniej głupi ode mnie.

Skąd to nagle milczenie wokół niego, dlaczego wszyscy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia? Nauczycielka blada jak kreda z trudem łapała powietrze, Kierownik aż zsiniał na twarzy.

— Sprawiasz mi nieopisany ból, Alfredo — szepnął. — Zrozumiałeś coś, zrozumiałeś, że jesteś najgłupszy ze wszystkich. To możemy rozumieć my, którzy nie jesteśmy dostatecznie głupi, ale nie ty!

Alfredo doznał takiego wrażenia, jak gdyby rozstąpiła się pod nim ziemia, czuł, że nie ma dla niego ratunku.

— Jak mogłeś? — zaszlochała nauczycielka. — Dlaczego, dlaczego musiałeś coś zrozumieć?

Pogrążony w rozpacz Alfredo szukał deski ratunku. Utracić czarną kokardę? Nigdy, przenigdy!

— To nieprawda! — krzyknął. — Nic nie zrozumiałem, przysięgam!

— Nie próbuj nas pocieszać — rzekł smutnie Kierownik. — Co się stało, to się nie odstanie: wszedłeś już na złą drogę.

Koledzy, których do tej pory upokarzała jego niebotyczna ignorancja, mogli wreszcie zemścić się na nim.

— Zrozumiałeś! Zrozumiałeś! — przekrzykiwali się złośliwie jeden przez drugiego.

Ale. Alfredo nie słyszał ich. Patrzył na ręce Kierownika, które wyciągały się ku niemu.

— Błagam o przebaczenie! — zawołał. — Nie chciałem zrozumieć, przysięgam! — ręce kierownika coraz bardziej się przybliżały. — Nigdy już nic nie rozumiem, nigdy! — Ręce dotknęły kokardy. — Nie, nie, litości! — skomlał Alfredo.

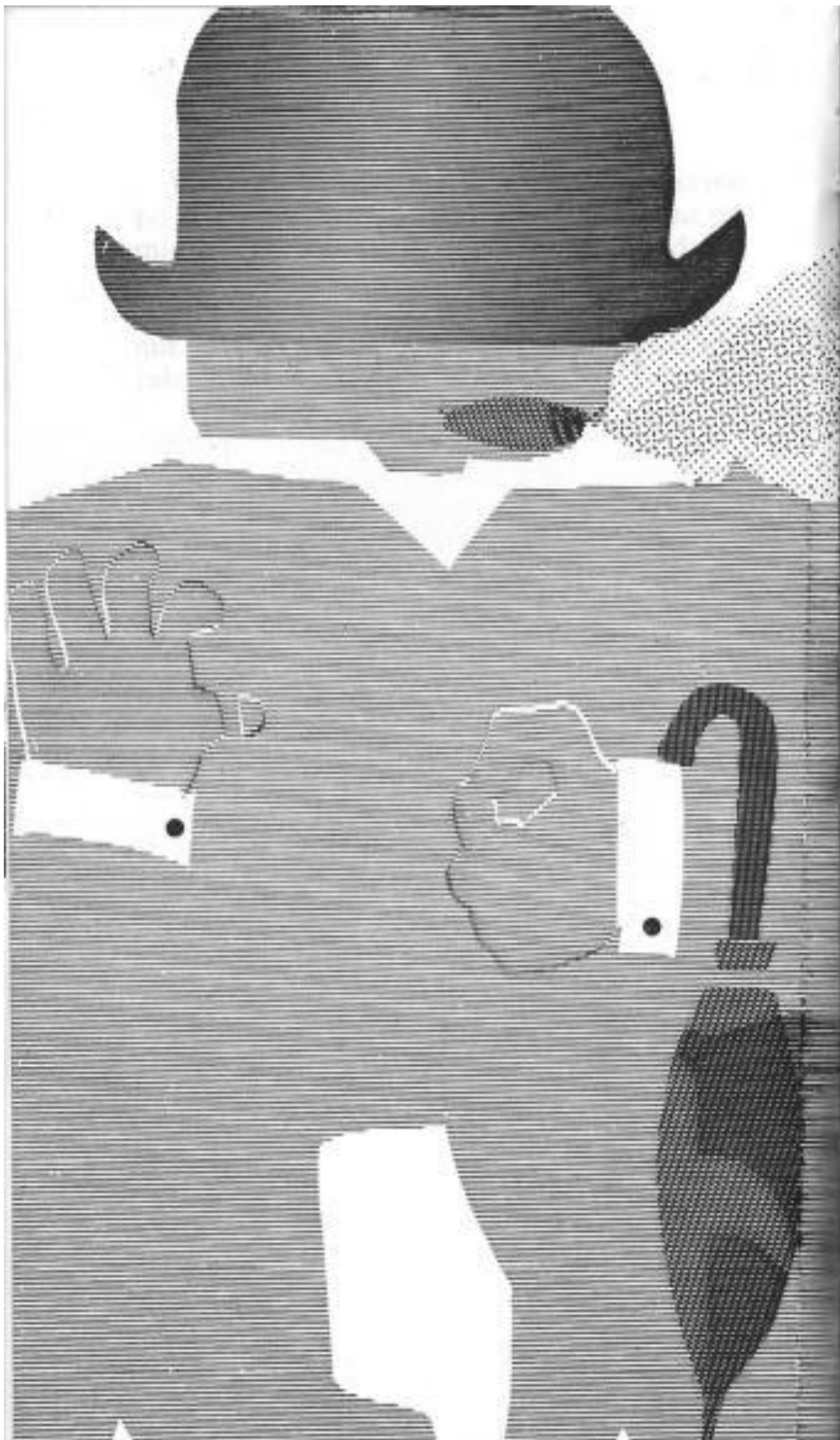
Daremnie, w sprawie ignorancji nie było żartów w Dwójkowicach.

— To wysokie wyróżnienie należy się tylko temu, kto naprawdę na nie zasługuje — rzekł Kierownik odpinając mu kokardę i Alfredo poczuł się tak, jak gdyby mu wrywano serce z piersi.

Wybuchnął płaczem: on, duma i chluba Dwójkowic, stoczył się z ołtarza ignorancji w pył miernoty, w szeregi tych, którym zdarza się coś zrozumieć.

Wiadomość ta rozeszła się błyskawicznie po całej szkole i odbiła się głośnym echem po mieście. Zjawili się dziennikarze i w godzinę później gazeciarze rozprzedawali dodatek nadzwyczajny „Oślego Ryku Dwójkowic”. Runął mit. Było to straszliwe rozczarowanie dla całej ludności miasta.

# **POSIADACZYN**



## Właściciel krajobrazu

W Posiadaczynie nawet powietrze ma swojego właściciela. Oddychasz sobie — i przysyłają ci rachunek. Są tam właściciele domów, telefonów, gazu, wody, kotów, kwiatów. Wszystko, co tylko widzisz, ma swojego właściciela: bar, tramwaj, taksówka, bilard, kino, restauracja, sklepy.

Podchodzisz do fontanny, aby się napić łyżeczek wody? Od razu pojawia się koło ciebie właściciel i podaje ci kwit:

— Proszę do kasy...

W Posiadaczynie ludzie nawet nie wiedzą, co to są miejskie ogrody. Istnieją tylko ogrody prywatne i płaci się za bilet wstępu właścicielowi. Płaci się też za wejście na stadion i za kąpiel w rzece. A jeżeli chcesz przejść przez rzekę nie zażywając kąpieli, musisz zapłacić za przejście właścicielowi mostu.

Właściciele jest bez liku. Jest nawet właściciel drużyny miejskiej. Sprzedaje i kupuje piłkarzy w eleganckich opakowaniach.

Należy jednak rozróżnić dwie kategorie właścicieli: zwykli i wielobranżowi. Ci ostatni posiadają fabryki + kamienice + sklepy + apteki + drukarnie, nie licząc oczywiście własnego mieszkania, willi nad morzem, jachtu, posiadłości wiejskiej.

Aby mieć wyobrażenie o Posiadaczynie, trzeba go obejrzeć z góry, z położonego powyżej miasta tarasu. Mieści się on na zadrzewionym wzgórzu i zaopatrzone jest w ustawione na postumentach lunety. Przy wejściu na taras podchodzi do ciebie elegancki mężczyzna i podaje ci żeton — chcesz podziwiać przepiękną panoramę miasta? Sto lirów minuta.

To właściciel panoramy.

Wkładasz żeton do wmontowanego w lunetę automatu i widzisz, jak na dłoni, cały Posiadaczyn. Obraz jest tak wyraźny, że możesz nawet odczytać nazwiska właścicieli wypisane na kominach fabryk, na dachach domów, a nawet na szaletach.





## To, co zostawiam mojemu synowi...

Przejsie Valda na emeryturę odbyło się z wielką pompą. Znalazł się on, wraz z innymi przechodzącymi na emeryturę robotnikami, w dużej świetlicy fabrycznej, świątecznie udekorowanej. Było to ich święto — święto zasłużonych robotników. Tego rodzaju uroczystości odbywają się w Posiadaczynie rokrocznie we wszystkich fabrykach i są wydarzeniami, które pokazuje się w telewizji i opisuje w gazetach.

Historia Valda zaczęła się wiele lat wcześniej, kiedy jako młodziutki chłopak zaczął pracować w fabryce, której właściciel był jego panem. Zaprzyjaźnił się tam z młodym robotnikiem, z którym wspólnie pracował. W każdą sobotę po południu chodzili razem do baru, gdzie grali w karty albo w bilard, i nie kłócili się nigdy, chociaż różnili się w zapatrywaniach.

Marco, jego przyjaciel, zawsze narzekał:

— Co za miasto, sami właściciele, sami panowie, nie mówiąc już o tym naszym, z fabryki.

— Co ci chodzi po głowie — mówił Valdo. — Jak świat światem, panowie byli i będą. Taki jest porządek rzeczy. Tak jak są drzewa, domy, fabryki — tak samo są panowie.



— Nie masz racji — mówił z uporem Marco. — Gdyby nie było drzew, domów, fabryk, źle by się żyło na świecie. Ja wyobrażam sobie miasto z drzewami, domami, fabrykami, ale bez panów-właścicieli, i wydaje mi się ono stokroć piękniejsze.

— Co ci chodzi po głowie — powtarzał Valdo. — W Posiadaczynie nikt tak nie myśli prócz ciebie. Słyszałem o takim kraju, Militariopolis, gdzie wsadzają do kozy za samo mówienie takich rzeczy. Masz, napij się lepiej łyk wina.

Marco sarknął również w fabryce:

— Co za miasto! Haruj i haruj, człowieku, tyle twojego — cała reszta należy

do panów.

— Co ci chodzi po głowie? — odpowiadał Valdo. — Bierz się do pracy.

On nie narzekał nigdy, nawet gdy przenoszono go do innego działu, nawet gdy kazano mu więcej pracować. Zależało mu na zdobyciu uznania. Gdy pewnego dnia właściciel fabryki powiedział mu: „Brawo”, był tak uradowany, że o mało nie wyskoczył ze skóry. Zaczął snuć marzenia o awansie, a potem — kto wie — może się trafi jakaś szansa, może los się do niego uśmiechnie... Od tej chwili żył tylko tą myślą przepelniającą mu serce nadzieją. Owa nadzieja na przyszłość pozwalała mu pogodzić się z faktem, że nie może wysłać rodziny na wakacje, że dzieciom — coraz liczniejszym — trzeba nicować odzież i wydzielać żywność, ograniczać porcje mięsa, jadanego tylko dwa razy w tygodniu. Ale — kto wie — może już niedługo...

W sobotę zaczął rozmawiać na ten temat z Markiem:

— Wiesz? Powiedział mi: „Brawo”. Zaczynam naprawdę mieć nadzieję.

Marco jednak nawet nie zapytał go, na co ma nadzieję.

— Co za paskudne miasto — rzekł zachmurzony. — Panowie zniewalają nawet duszę.

— Przesadzasz! I dlaczego wciąż się gryziesz? Zawsze tak było.

— Ale ja mojemu synowi... — tu Marco urwał w połowie zdania i rzekł: — Posiadaczyn to naprawdę paskudne miasto.

— Przestań już! Łyknij sobie wina — powiedział Valdo wesoło. Jego nadzieja zaczynała nabierać coraz bardziej rzeczywistych kształtów.

Lata mijały, obaj zaczęli się starzeć. Valdo pracował, wciąż z ową nadzieją na lepsze, Marco natomiast narzekał — ale nie kłócili się nigdy.

Nastąpił dzień przejścia na emeryturę i zorganizowano uroczystości na cześć robotników zasłużonych i wiernych — jak mówił właściciel fabryki.



Wszyscy przechodzący w stan spoczynku robotnicy, w odświętnych ubraniach, zebrali się w dużej fabrycznej świetlicy. Właściciel wygłosił długą mowę:

„Dzielni, niestrudzeni w pracy, oddani bez reszty, filary Posiadaczyna, przykład dla młodych” — itd. Potem przypiął każdemu z nich medal i każdego

poklepał po ramieniu. Valdo był wzruszony, tak samo inni robotnicy, wielu miało łzy w oczach. Marka nie było, on nie należał do tych wiernych.

Wieczorem, w barze Valdo pokazywał znajomym medal.



— Piękny, co? Cały złoty i patrzcie na napis: „45 lat wierności”.

— Wielki to zaszczyt — mówili znajomi i pełni podziwu podawali go sobie z ręki do ręki.

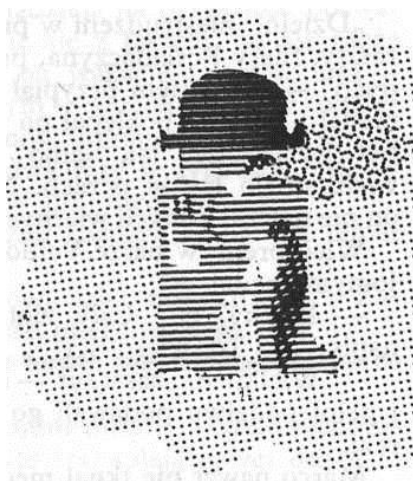
Marco nawet nie tknął medalu.

— Wart jest co najwyżej trzy tysiące lirów — powiedział.

— A co ty byś chciał? — oburzył się Valdo, tym razem urażony słowami przyjaciela. — Tu chodzi o symboliczną wartość. Medal świadczy o tym, że jestem dobrym obywatelem i zasłużonym pracownikiem. Jutro moje nazwisko ukaże się nawet w gazetach.

Lecz Marco spojrział na niego takim wzrokiem, jak nigdy dotąd. Jego oczy, niby mikroskopy, zdawały się czytać w sercu Valda, gdzie kryła się tajemna nadzieja.

— Przyznaj się — rzekł Marco jak lekarz, który odkrywa chorobę pacjenta — nigdy nie pracowałeś dlatego, aby być dobrym, zasłużonym, przykładnym pracownikiem, zawsze miałeś nadzieję, że staniesz się posiadaczem, właścicielem choćby jednej fontanny.



— No to co? — odrzekł Valdo z przykrym uczuciem, jak gdyby nagle obnażono mu duszę. — A gdyby mi się poszczęściło... to naturalne, że żywi się tego rodzaju nadzieje. A poza tym wcale nie marzyłem o posiadaniu fontanny, ale ławki w parku. Nigdy nie brak starych ludzi, którzy chcą posiedzieć, wygrzać się w słońcu wśród zieleni. Sprzedawałbym mnóstwo biletów, byłby to ładny zarobek. — Wzruszył ramionami. — Trudno, trzeba się z tym pogodzić, że żyje się zawsze na łasce panów.

— Biedny Valdo — odrzekł Marco — nawet teraz nie pojąłeś jeszcze, że kto marzy o tym, żeby być panem, godzi się tym samym żyć pod pańskim butem. Oznacza to, że pan wziął w posiadanie także twoją duszę. On cię skłonił do marzeń. Wszystkich ludzi taką właśnie nadzieją dochrapania się na własność choćby fontanny, choćby ławki w parku. Wszyscy oddają się marzeniom, są posłuszni... a potem, kiedy cię już wycisną jak cytrynę, mówią „dziękuję i żegnam” i dają jako upominek — medal.

Wszyscy milczeli. Valdo, zaszepiony, popił łyk wina i nie patrząc na Marka otarł usta dłonią.



— A ty? — powiedział. — Czyś wiele zyskał z twoimi poglądami? Wciąż się tylko gryzłeś i gryzłeś. Ja, natomiast, nawet jeżeli się nie dorobiłem ławki, mam przynajmniej ten medal i mogę go zostawić moim dzieciom.

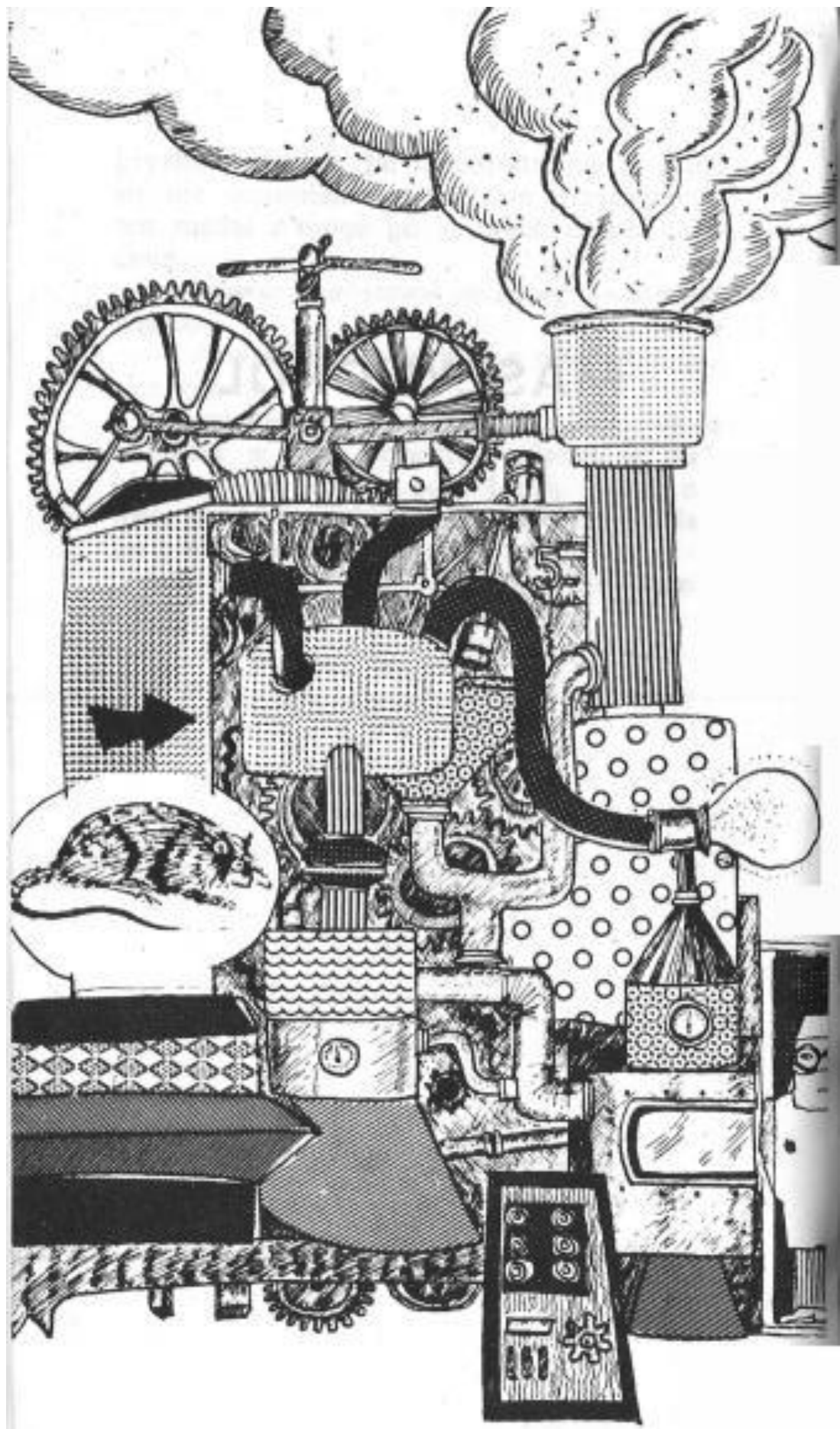
— Ja wolę im zostawić coś innego — odrzekł Marco.

— A co? — zapytał ktoś z obecnych, zaciekawiony.

Marco nie odpowiedział. Lecz odpowiedź widniała w jego oczach: zapłonął w nich blask, jakim jaśnieją oczy ludzi, którzy nie mają panów, a w każdym razie nie pozwalają im zawładnąć swoim sercem.

Valdo wychylił kieliszek do dna i nie odezwał się ani słowem.

# MASZYNOPOL



## Miasto guzików

— Mamusiu, do czego służą ręce?

Matka otuliła Paulinę kołdrą i uśmiechnęła się.

— Do naciskania guzików, kochanie.

— A czy nie służą też do tego, aby nimi chwytać różne rzeczy?

— Głuptasku, od tego są maszyny. Co najwyżej służą do tego, żeby je sobie wymyć w pralce.

— A do czego służą nogi, do chodzenia?

— Jakie z ciebie naiwne dziecko: służą do przyciskania pedałów w samochodzie. Czyś widziała kiedyś, aby ktoś chodził piechotą?

— No, a mózg? Mózg chyba do czegoś służy.

— Oczywiście, mamy go na zapas, na wypadek gdyby się popsuł mózg elektronowy, który za nas myśli. A teraz śpij.

Matka pocałowała Paulinę w czoło i nacisnęła guzik. Magnetofon zaczął grać kołysankę, okna automatycznie się zamknęły, włączyło się urządzenie klimatyzacyjne, budzik sam się nakręcił na godzinę siódmą.

O siódmej rano, drin-drin, Paulina się obudziła. Rozpoczął się nowy dzień w Maszynopolu, mieście, gdzie wszystko dokoła jest mechaniczne i gdzie wszystko już wynaleziono.

Paulina przesunęła się z łóżka na poruszane napędem elektrycznym krzesło, krzesło wjechało do łazienki pod prysznic, chlapu, chlapu, chlapu, namydliły ją mechaniczne ręce, po czym wrrr, wrrr, włączyła się wydmuchująca ciepłe powietrze suszarka.

Krzesło przejechało do stołowego pokoju: śniadanie. Gul, gul, gul, mechaniczny lejek napoił ją kawą z mlekiem.

— Do widzenia, mamusiu.

— Do widzenia, skarbie.

Krzesło wjechało do przedpokoju, otworzyły się drzwi i Paulina usiadła na ławeczce w windzie. Ciaaaach! Winda zjechała do garażu i Paulina przesiadła się do swojego elektrycznego samochodu. Aby się nie męczyć prowadzeniem wozu, włączyła automatycznego kierowcę. Wrrrrr bum, i oto znalazła się przed ruchomymi schodami szkoły. Trak, trak, trak i Paulina jest już w klasie.

W ławce, na pulpicie, ma po prawej stronie maszynę do liczenia, po lewej mikro-mózg elektronowy. Przyciska guziki klik, trik, klik i już ma rozwiązane zadania, których treść wypisana jest na tablicy.

Matka tymczasem sprząta mieszkanie. Siedzi przed deską rozdzielczą sterującą przyrządami domowymi. Chce się szybko uwinąć z robotą i przyciska wszystkie guziki. Bring, bring, szszu, szszuu, pam! Włączają się jednocześnie odkurzacze, froterki, pościelacze łóżek, wycieraczki okienne. Również ojciec Pauliny ma pełne ręce roboty. Sam jeden, nieborak, musi uruchomić całą swoją fabrykę. Bez chwili przerwy przyciska wskazującym palcem guziki: bam, bang, trach! Postanawia ogłosić strajk, jeżeli nie przyślą mu szybko obiecanej

maszyny naciskającej guziki; tak dalej być nie może;, kiedy kończy swoją jednogodzinną pracę, drętwieje mu wskazujący palec.

Tymczasem w szkole nauczycielka zadaje lekcje: wręcza każdemu uczniowi taśmę z nagraniem lekturą książki. Wysłuchują sobie jej w domu nie męcząc oczu czytaniem. Paulina zastanawia się, dlaczego nie dają im powieści „Robinson Crusoe”. W całym Maszynopolu nie ma ani jednego egzemplarza tej książki. Nie nagrano jej również na taśmę, bo — jak chodzą słuchy — nikt nie zrozumiałby tej książki, nikt w całym Maszynopolu.

## **Wynalazek Clorinda**

Jak wszyscy chłopcy w Maszynopolu, Clorindo był zapalony do mechaniki. Siedział całymi godzinami w swoim dziecięcym pokoju, czyli w laboratorium, i łamał sobie głowę, co by tu nowego wynaleźć. Ale w mieście aż się przelewało od najdoskonalszych maszyn i wszystko w tej dziedzinie wydawało się już zrobione. Ludzie zdążyli się otrząsać nawet z maszyną do myślenia. Dawno wynaleziono także maszynę-senny-marzeń. Naciskało się guzik ulubionego rodzaju snu (wesoly, sensacyjny, historyczny, fantastycznonaukowy, itd.) i zaraz po zaśnięciu dwie mechaniczne ręce, mięciuteńkie jak aksamit, masowały ci głowę i wnet przychodził wybrany sen, który maszyna utrzymywała zresztą na taśmie. Każdy, kto nie zapamiętał, co mu się w nocy śniło, mógł z rana obejrzeć swój sen na ekranie: biało-czarny lub kolorowy, z dźwiękiem i zapachami. Poza tym maszyna wyświetlała numery, które należy postawić na Loterii.

Clorindo był jednak pewien, że wszystkiego nie wynaleziono, że można odkryć coś nowego, co dałoby ludziom pełnię szczęścia. Należało wszakże wpaść na pomysł, a pomysłu nie mógł mu podsunąć nawet najbardziej udoskonalony mózg elektronowy.

Wreszcie przyszło olśnienie. Wymyślić użyteczną dla człowieka maszynę? Nie. Lepiej wymyślić mechanicznego człowieka, zdolnego wprawiać w ruch wszystkie doprowadzone do perfekcji instrumenty w Maszynopolu, co oszczędziłoby ludziom trudu przyciskania guzików. Nie miał na myśli robota (było ich zatrzesienie w Maszynopolu), lecz maszynę naprawdę ludzką, podobną w każdym calu do człowieka, mogącą rozumieć i działać.

Zabrał się od razu do opracowywania projektu. Przy pomocy maszyny do liczenia oraz mózgu elektronowego ojca zrobił najbardziej skomplikowane obliczenia. Chemikalia z podręcznej apteczki matki posłużyły mu do wyprodukowania nowych materii plastycznych. Do konstrukcji mógł użyć na szczęście wielu organów mechanicznych dawno wynalezionych, jak serce i sztuczną nerkę oraz sztuczne szczęki, paznokcie, rzęsy. Wykorzystał też ostatnie wynalazki: plastikowe kości, płuca-komory powietrzne, żołądki-woreczki.

Po zmontowaniu szkieletu zastosował nerw własnego pomysłu (druciki,



tranzystor i baterie odbierające impulsy), włączył nerki, żołądek, płuca. Wynalazek nabierał powoli kształtu.

Wieczorem, gdy ojciec i matka przychodzili pocałować go na dobranoc, Clorindo z trudem powstrzymywał się od ujawnienia im swojego projektu. Wolał zrobić im niespodziankę już po otrzymaniu patentu. Ze wspomnieniem ciepła rodzicielskich pocałunków zasypiał oddając się marzeniom.

Pozostały mu do wykonania jeszcze dwie rzeczy, najtrudniejsze. Ale gdy pokrył już członki skórą z materii plastycznej własnego pomysłu i wpompował do żył plazmę, jego wynalazek naprawdę przypominał człowieka. A co najwspanialsze, działał! Mechaniczny człowiek otworzył oczy, poruszał się, był posłuszny rozkazom.

Clorindo załadował go do swojego samochodziku i zawiózł do Pałacu Nauki. Wszedł tam, wszedł do windy, po czym stanął na ruchomym chodniku i po chwili znalazł się w ogromnej, pogrążonej w półmroku sali.



W głębi, na fotelu z szerokimi poręczami pełnymi guzików, siedział Wielki Inżynier, Konos. Był on najwyższą władzą w Maszynopolu. Oceniał i zatwierdzał wszelkie wynalazki. Miał olbrzymie kompetencje. Nie wychodził nigdy z Pałacu Nauki, ale jego drzwi były dla wszystkich otwarte, a jego smutne oczy sędziwego mędrca zawsze gotowe badać, osądzać i zrozumieć.

— Wielki Inżynierze — wyjąkał nieśmiało Clorindo — zrobiłem wynalazek, ten oto...

Pogrążony w półcieniu Konos pozostał niewzruszony, nacisnął palcem guzik na poręczy fotela i światło reflektora padło na mechanicznego człowieka.

— Jest to doskonały model — powiedział Clorindo. — Wystarczy, abym przemówił, a jego elektronowy mózg chwyta moje słowa i spełnia każdy mój rozkaz. Jeżeli przejdziemy do masowej produkcji tych maszyn, ludzie nie będą już musieli nic robić: maszyny zajmą się naciskaniem guzików w urzędach i w fabrykach.

Smutna twarz Konosa nie zmieniła wyrazu.

— Nie wierzysz mi? — rzekł Clorindo. — On naprawdę działa. Zaraz ci pokażę. Naprzód marsz! — Mechaniczny człowiek natychmiast ruszył z miejsca. — Widziałeś? Może robić wszystko. Siądź! — Mechaniczny człowiek siadł. — Przywitaj się ze mną! Klęknij! Podrap się w głowę!

Reflektor oświetlał posłusznego rozkazom człowieka, a Konos obserwował go uważnie, jak reżyser aktora podczas próby na deskach scenicznych. Lecz wyraz jego oczu był nieprzenikniony.

Clorindo drżał z przejęcia. Od jednego słowa tego starca zależał los jego wynalazku.

— Widzisz, jak działa? Czy mam go poddać dalszym próbom?

Konos potrząsnął głową.

— Opatentujesz go więc? — zapytał niespokojnie Clorindo.

Konos milczał z oczyma utkwionymi w mechanicznego człowieka.

— Opatentujesz go? — powtórzył pytanie Clorindo.

Konos poruszył powiekami i otrząsnął się z zamyślenia.

— Nie — odrzekł półgłosem.

Clorindo zdrętwiał, po czym w przyływie buntu, zawołał:

— Dlaczego nie?

\* \* \*

Clorindo, przywiązany do metalowego łóżeczka, wpatruje się w elektryczny zegar na przeciwległej ścianie. Wskazówka sekundnika posuwa się drgając, jak gdyby znajdowała się pod wodą. Tak mu się wydaje, bo ma oczy pełne łez.

Ile mu pozostaje sekund do momentu wyładowania promieni elektronowych? Trzydzieści, dwadzieścia dziewięć...

Siedzi jak skazaniec ową wskazówkę odmierzającą nieubłaganie ostatnie chwile świadomości.

Jego wspaniały wynalazek... jego mechaniczny człowiek... chęć uszczęśliwienia ludzi..! Nic go już to wszystko nie obchodzi, wszystko stało się przerażająco niepotrzebne, bez sensu... Jego matka, jego ojciec... pocałunki na dobranoc, to błogie uczucie, z którym zasypiał i zaczynał śnić... Nawet tego nie żałuje, co więcej, drażni go to wspomnienie, nie chce o nim myśleć... Pragnie tylko maszyny-sennych-marzeń — nacisnąć guzik wiecznego snu i nie obudzić się więcej...

— Dlatego że nie jest to udany wynalazek — odpowiedział Konos. — Na przykład ruchy nie mają płynności, są zbyt mechaniczne.

— Na to nie ma rady — bronił się Clorindo — przecież to maszyna.

— Doceniam w pełni twoją dobrą wolę i twoje wysiłki, Clorindo, ale musisz rozstrzygnąć jeszcze wiele problemów. Popatrz na jego koloryt.

Reflektor oświetlił twarz mechanicznego człowieka.

Dlaczego? Czy koloryt pozostawiał coś do życzenia? Skórę udało się podrobić znakomicie, wyglądała jak prawdziwa z porami i nawet odrobiną piegów.

— Czy myślisz, że ta skóra będzie mogła opalić się na słońcu?

— Nie wiem — szepnął Clorindo. — Szczerze mówiąc, nie pomyślałem o tym.

— Widzisz więc, że on nie jest zupełnie jak człowiek. I czy będzie się starzał? Czy posiwieją mu włosy, czy kark schyli mu się z wiekiem?

O tym również nie pomyślał.

— Udoskonale go, wymyślę jakiś sposób, na pewno mi się uda, zobaczysz.

Konos potrzęsła głową.

— Może nawet wprowadzisz pewne poprawki, ale wątpię, czy uda ci się osiągnąć najważniejszą rzecz: aby, jak prawdziwy człowiek, mógł myśleć i działać samorzutnie, bez rozkazu.

— To absurdalne! — zawołał Clorindo. — Nie można wynaleźć tego rodzaju maszyny!

Wielki Inżynier nacisnął guzik i światło reflektora skierowało się na Clorinda, jak na oskarżonego.

—Dlaczego podajesz w wątpliwość moje słowa? — powiedział Konos niemal ojcowiskim tonem.

— Przecież to niemożliwe wynaleźć maszynę, która będzie działała bez impulsu! wykrzyknął rozpaczliwie Clorindo.

— Niemożliwe? To słowo nie istnieje w Maszynopolu.

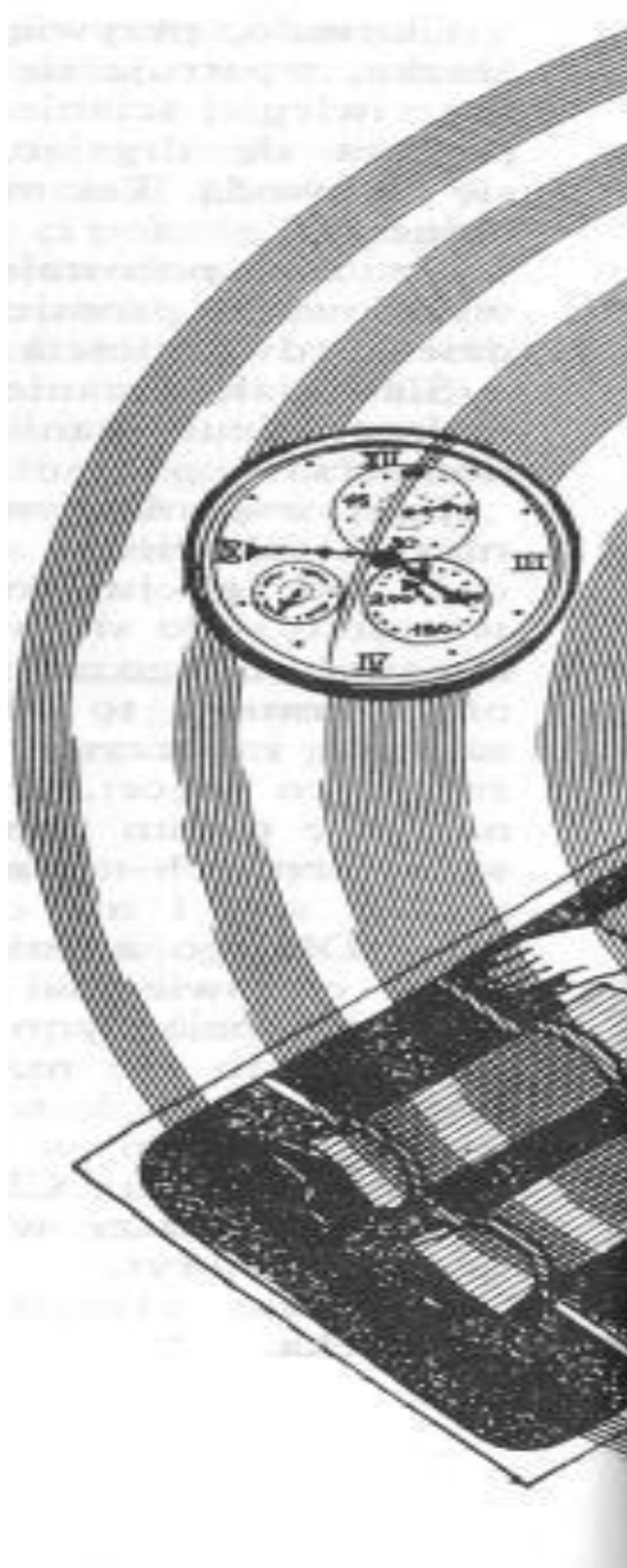
— Powiedz prawdę, szukasz pretekstów, aby nie opatentować mojego wynalazku. Ja ci nie wierzę!

Konos zachnął się, lecz jego wyraz twarzy był raczej smutny niż gniewny.

—Wierzaj mi, Clorindo — powiedział — nie wyobrażasz sobie nawet, jakie wyniki może osiągnąć Wiedza.

—Jesteś na mnie zły! — krzyknął Clorindo już ze łzami w oczach. — Uważałem cię zawsze za najmądrzejszego, za najinteligentniejszego człowieka w Maszynopolu, a tymczasem jesteś złośliwy i zawistny. Tak, zazdrościsz mi

mojego wynalazku.





— Zmuszasz mnie do tego, abym ci dowiódł, że się mylisz — odpowiedział Konos i z wyraźną niechęcią nacisnął guzik. Snop światła padł na wielki ekran. Ukazało się laboratorium, w którym kilkunastu starców, pełnych napięcia, obserwowało śpiącego w łóżeczku małego chłopca. Clorindo odniósł wrażenie, że ten chłopczyk jest mu znajomy, chociaż film wydawał się bardzo stary. Dźwięk był wadliwy i z trudem można było zrozumieć, co mówią sędziwi ludzie, tym bardziej, że głosy mieli słabe i drżące.

— To ostatnia szansa, jaka nam pozostała — powiedział jeden z nich.

— Próbujmy — rzekł inny i potrząsnął chłopca za ramię. Ten obudził się, usiadł na łóżeczku i przetarł oczy. Wszyscy wpatrywali się w niego. Chłopczyk wstał, powitał obecnych i oświadczył, że jest głodny.

Podano mu śniadanie na tacy i gdy zaczął jeść, starcy — nie wiadomo czemu — patrzyli na niego z takim zachwytem, jak gdyby był ósmym cudem świata. Tymczasem on po prostu zajadał z apetytem biszkopty i popijał kawą z mlekiem.

— To wielka pociecha, zaiste — rzekł jeden ze starców.

— Tak — powiedział inny — ostatnia.

Konos nacisnął guzik, snop światła rzucony na ekran zgasł, sala pogrążyła się znów w półmroku.

— Co to znaczy? — zapytał Clorindo. — Nic z tego nie rozumiałem. Tylko ten chłopiec wydawał mi się znajomy, on mi kogoś przypomina.

Konos przycisnął guzik i reflektor oświetlił jego twarz.

— To ty! — zawołał Clorindo. — Ty, kiedy byłeś dzieckiem!

— Tak — odrzekł Konos — ten film był nakręcony przed pięćdziesięciu laty.

— Ale co to ma wspólnego z moim wynalazkiem ?

— Nie rozumiesz jeszcze? Chciałem ci pokazać, jak wiele pozostawia do życzenia twój wynalazek. Jest niczym w porównaniu z genialnym wynalazkiem tych starców.

Co Konos miał na myśli! I dlaczego na jego twarzy odmalowało się takie cierpienie?

— A co oni takiego wynaleźli? — zapytał.

Konos skurczył się i wcisnął głębiej w swój fotel, jak gdyby chciał się ukryć w mroku.

— Wynaleźli mnie — odpowiedział.

Stojący na środku sali, oświetlony reflektorem Clorindo, patrzył na skulonego w mroku Konosa. To, co usłyszał, nie mogło mu się pomieścić w głowie.

— A więc ty miałbyś być... — wybełkotał.

— Tak, maszyną, wynalazkiem ludzi, najdoskonalszym modelem mechanicznego człowieka. A oni — dodał Konos wskazując na ekran — dawno pomarli, wszyscy. Byli to ostatni ludzie Maszynopolu.

Clorindo doznał zawrotu głowy: czy aby się nie przesłyszał! Nie — tak właśnie, a nie inaczej powiedział Konos.

— Ostatni? Co ty mówisz? Przecież jest ich tylu!

Konos potrząsnął głową.

— Żartujesz chyba — mówił Clorindo — ja przecież jestem człowiekiem, żyję... tak samo mój ojciec i moja matka...

Konos nie wyrzekł ani słowa, lecz Clorindo wyczytał odpowiedź w jego oczach pełnych rozpaczliwego, beznadziejnego smutku.

Clorindo poczuł, że uginają się pod nim kolana, wydawało mu się, że pokój kręci się wokół niego i wraz z nim cały świat wiruje jak oszalały.

— Ja... — jęknął — a więc i ja jestem...

— Tak jak wszyscy. Ludzie już od dawna wyginęli w Maszynopolu. Ale ci ostatni, nim wymarli, wynaleźli model mechanicznego człowieka, aby przetrwał chociaż pozór ludzkiego życia. Ja byłem tym pierwszym modelem. Teraz wiesz, co uważam za maszynę doskonałą, zupełnie podobną do człowieka.

Mechaniczny człowiek, skonstruowany przez Clorinda, stał nieruchomo w kącie, sztywny jak manekin. Był śmieszny. Clorindo teraz doskonale zdawał sobie z tego sprawę: wystarczy jeden rzut oka, aby poznać, że to maszyna. Ale nie zależało mu już na nim.

— To maszyna, która jest szczytem doskonałości — ciągnął dalej Konos — która myśli, działa i czuje bez niczyjego rozkazu. Której rosną włosy, która się starzeje i umrze, kiedy wyczerpie się ładunek, pozwalający jej żyć, jak gdyby była prawdziwym człowiekiem. Ale jesteśmy maszynami: ty, ja, wszyscy. Maszynopol, miasto nauki, gdzie wszyscy są szczęśliwi... — Konos uśmiechnął się gorzko. — Tymczasem jesteśmy tylko maszynami, maszynami jak te, którymi się posługujemy. Nikt tego nie wie, tylko ja. Gdyby wiedzieli, oszaleliby z rozpaczy... Cierpieliby jak ja... i jak ty w tej chwili. Nikt jednak nie może się o tym dowiedzieć. To tajemnica, której nigdy nie będziesz mógł wyjawić.

Konos nacisnął guzik, wszystkie drzwi sali automatycznie się zamknęły.

Clorindo wzdrygnął się:

— Co ty zamierzasz? Zabić mnie?

\* \* \*

Clorindo leży na łóżeczku w pokoju sąsiadującym z salą Wielkiego Inżyniera i czeka na wyładowanie promieni elektronowych. Na zawsze zostanie wymazane z jego pamięci to, o czym się dowiedział.

Ale jeszcze wie: ludzie wyginęli, istnieją jedynie maszyny. On również jest maszyną, jak maszyna do pisania, lodówka czy telewizor, tylko bardziej udoskonaloną.

Wskazówka zegara posuwa się, jeszcze dwadzieścia sekund, jeszcze dziewiętnaście...

Jego ojciec, jego matka to też tylko maszyny. Ten ich wieczorny pocałunek, te delikatne wargi muskające jego czoło przed zaśnięciem. Są zapewne z plastyku albo z jakiejś innej materii. Także inteligentne i błyszczące oczy ojca są po prostu doskonałymi komórkami fotoelektrycznymi, uśmiechy ich trojga podczas obiadu

przy stole są impulsami elektronicznymi. Wszyscy żyją jak ludzie, a nie są ludźmi.

— A co teraz? Rozplączę się? — zadaje sobie pytanie.

Konos na pewno nigdy nie płacze, na nic by się to zdało; zawsze wiedział, że nie jest człowiekiem, i dlatego jest skazany na ten wieczny smutek.

„Głupcze, nie jesteś człowiekiem, dlaczego płaczesz? Jesteś śmieszny, maszyny nie płaczą”.

Wskaźówka posuwa się: dziesięć sekund, dziewięć... Jeszcze osiem sekund tej agonii.

„Jestem tylko maszyną, tylko maszyną! To straszne i śmieszne tak cierpieć. Dlaczego cierpię? To są myśli maszyny, mojego doskonałego mózgu elektronowego. To nedorzeczne cierpieć jak człowiek, nie jestem człowiekiem”.

Wskaźówka posuwa się szybko: pięć sekund, cztery...

Wyładowanie promieni elektronowych i wkrótce wszystko się skończy. Śmierć? W pewnym sensie tak, niedługo bowiem wróci do domu nie pamiętając niczego. Konos wytłumaczył mu to: będzie żył jak dawniej, nic nie pozostanie mu w pamięci, bo w przeciwnym razie życie byłoby dla niego męką.

Spotka na ulicy kogoś znajomego.

— Ciao, Clorindo.

— Dzień dobry, panie Rossi.

Zamienią z sobą kilka słów. „Ach, byłeś u Konosa. Widziałeś, jaki on jest smutny? Licho wie dlaczego”. Nie dowiedzą się nigdy dlaczego, nie dowiedzą się również, że oni także są maszynami.

Dwie sekundy.

„Mamusi, tatku, mam dla was niespodziankę. Byłem u Konosa z tym moim wynalazkiem : mechanicznym człowiekiem! Gratulował mi, doradził mi też, jak go ulepszyć...” Rodzice powiedzą: „Brawo, Clorindo! Popracuj jeszcze, może go opatentujesz”. Teraz jednak — jeszcze przez sekundę — wie, że jego wynalazek nigdy nie dorówna jemu samemu.

Jeszcze sekunda, potem nic już nie będzie pamiętał: będzie żył i nie żył, jak wszyscy w Maszynopolu. Maszyny, tylko maszyny i wszyscy szczęśliwi.



# RAFAELOWO





## Sami malarze

Dam wam radę: jeżeli się wybieracie do Rafaelowa, nie pokazujcie się tam z aparatem fotograficznym. Wszyscy patrzyliby na was z politowaniem jak na matematyka, który posługuje się liczydłem przy rozwiązywaniu zadania z algebry. Gdy spodoba się wam panorama czy jakiś fragment miasta i zapragniecie mieć pamiątkę, nie róbcie zdjęć. Namalujcie go albo narysujcie. Taki jest zwyczaj w Rafaelowie. Jeżeli ktoś ci powie: „Chcę mieć twoją podobiznę”, na pewno zrobi ci portret, olejny portret na płótnie. W Rafaelowie nawet do dowodów osobistych nie przykleja się fotografii, tylko autoportrety, śliczne miniatury. W Rafaelowie powiadają, że nie wolno utrwałać piękna za pomocą czegoś tak pospolitego jak aparat fotograficzny: należy je ogarnąć wzrokiem, wyobraźnią i uwiecznić pędzlem na płótnie. A co może być piękniejszego od krajobrazu, od kwiatów, od portretu człowieka?

Druga rada: nie dawajcie dzieciom w podarunku trąbek, lalek, pluszowych misiów. Nawet nie spojrzaliby na nie. Tutejsze dzieci marzą już od kołyski o rysowaniu i gryzmołą na arkuszach brystolu, a nawet na murach, kolorowymi kredkami. To pierwszy prezent, jaki dostają. Potem kupuje się im pastele, potem akwarele. W szóstym roku życia dzieci już zaczynają malować olejnymi farbami.

A w szkole nie ma egzaminów z nudnymi pytaniami, nie ma klasówek: przychodzi komisja złożona ze znawców sztuk pięknych i ogląda wystawę namalowanych w ciągu roku obrazów. Znajdują się tam płótna tak znakomite, że na większości z nich wisi karteczka z napisem „dzieło zakupione”.

W Rafaelowie ludzie nie tylko malują — lubią także rozrywki. Na przykład w niedzielę ustawiają się długie kolejki po bilety. Czy to kina i teatry mają takie powodzenie? Nic podobnego, nikt tam nie chodzi. Wszyscy biegają zwiedzać Galerie Sztuki. Na wystawy znanych malarzy trzeba zamawiać bilety wstępu na miesiąc z góry.

Dzieci przyjemnie spędzają czas także na innych zajęciach. Ich pasją jest kolekcjonerstwo. Nie zbierają jednak znaczków pocztowych czy malowanek — nawet nie wiedzą, co to takiego — tylko obrazy, rysunki i reprodukcje. Wymieniają je między sobą: „Dam ci reprodukcję Rafaela za dwa sztychy Guttusa”, „Daję książkę o Rafaelu za dwanaście małych reprodukcji Caravaggia”.

Królestwo koloru, a tym samym fantazji. Rafaelowo jest najweselszym miastem na świecie. Domy są tam we wszystkich kolorach, czerwone, niebieskie, zielone w żółte paski, balkony fioletowe, dachy purpurowe, chodniki i jezdnie mozaikowe. Poza tym okna zamiast szyb mają witraże, co daje wnętrzą wspaniałe efekty świetlne. Na ulicach pełno wszędzie barwnych ogłoszeń — reklama oczywiście, ale nie proszków do prania czy oliwy takiej a takiej produkcji. Mieszkańcy Rafaelowa to poważni ludzie, reklamuje się tu wyłącznie dzieła sztuki i wywiesza na murach ich artystycznie wykonane reprodukcje. Słowem, prawdziwa to radość żyć tutaj, między tymi przemiłymi ludźmi. Wszyscy mają bzika na punkcie kolorów, powinniście zobaczyć ich bajeczne ubrania! Ponieważ kolorem można wyrażać także uczucia, gdy ktoś jest smutny, wychodzi w szaroperłowym ubraniu, gdy jest wesoły — przywdziewa strój żółty w różowe groszki, słowem, nosi to, co mu podszeptnie fantazja i uczucia, jakich doznaje. A w karnawale, na Sylwestra, wszyscy malarze przebiegają się za Arlekina, to istne szaleństwo kolorów, wydaje się, że całe miasto przystroiło się w tęczę.

## **Obrazy Donatelli**

Donatella była córką malarza i malarki. Rodzice bardzo wcześnie ją osierocili. Miała jasne oczy, łagodne i zachłanne. Zachłanne na piękno. Patrzała na świat, na naturę jak złodziejka. Każde jej spojrzenie przypominało dotyk delikatnych palców wyciągających się po pejzaż, po zieleń łąk, po ludzkie uśmiechy. Kradła oczyma — zawsze — bo jedynym jej pożywieniem było piękno. Jako nieodrodna obywatelka Rafaelowa miała duszę malarki i pragnęła żyć tylko sztuką.

Pewnego dnia, gdy cierpiała bardziej niż zwykle, nie mogąc nic uchwycić oczyma z ponurej, jednostajnej ściany, wzdrygnęła się nagle usłyszawszy za

plecami cichy głos:

— Wszędzie można być otoczonym cudami tego świata, nawet tutaj.

Głos był uprzejmy i pełen szacunku, ale wyraźnie ją pouczał.

Donatella, nieco wystraszona, rozejrzała się dokoła: nie było nikogo.

— Kto to? — zapytała. — Kto do mnie mówi?

Żadnej odpowiedzi. Przeszukała całe mieszkanie. Było puste. Skąd więc dobiegał ten głos, którego echo już zgasło?

Zastanowiła się nad tymi słowami: „Wszędzie można być otoczonym cudami tego świata, nawet tutaj”. Tajemniczy głos nie dodał nic więcej, ale sens owych słów był jasny, Donatella pojęła go od razu. Ten głos miał rację — można było rozkoszować się naturą nawet w domu. Wystarczało się uwolnić od tych nienawistnych murów. W natchnieniu twórczym zaczęła malować freski na wszystkich ścianach. Im dłużej malowała, tym silniejsze odnosiła wrażenie, że stwarza zaczarowane kręgi, których ośrodkiem jest ona sama, ściany znikają i każdy krąg, głęboki jak horyzont, stawał się kawałkiem świata.

Miała tym sposobem pokój-morze, pokój-góry, pokój-wieś. Były tak mistrzowsko namalowane, że w pokoju górach unosił się zapach świerków, rześki powiew alpejskich szczytów; pokój-morze pachniał solą i jodem, a na horyzoncie widniały rozdęte wiatrem żagle; zwierzęta wyłaniające się z krzaków w pokoju-wsi wyglądały jak prawdziwe i można było uchwycić wzrokiem tętno ich życia, łagodną nieśmiałość jelonka, nieustępliwą przebiegłość lisa.

Żyła teraz już nie w czterech ścianach, ale w bezkresnym królestwie natury.

A jednak czuła się samotna, nie wystarczała jej nawet natura. Cierpiała, bo czegoś jej brakowało. Zapomniała już o tajemniczym głosie, lecz pewnego dnia, gdy była smutniejsza niż zwykle, usłyszała go znowu:

— Droga Donatello, brak ci czegoś bardzo ważnego: płomyczka, który rozpała w sercu najgłębsze uczucia.

„To prawda... — pomyślała Donatella, ale tym razem nie wzdrygnęła się ze zdziwienia i nie rozglądała się dokoła, by zbadać, skąd dochodzi ten głos, przejęta płynącą zeń miłością i mądrością. — Ma rację: brak mi ludzi, których mogłabym kochać”.

Dlaczego nie miałyby mieć przy sobie, i na zawsze, najbliższych osób? Mogła przecież tego dokonać, zależało to tylko od niej. I zamiast głowić się nad zagadką, kto do niej przemówił, wzięła farby i zaczęła malować portrety naturalnej wielkości rodziny, którą utraciła przedwcześnie. Biorąc jako model stare miniatury, wymalowała ojca i matkę: pięknych, młodych, inteligentnych, takich, jacy pozostali w jej sercu. Namalowani z taką miłością zdawali się obecni w jej domu, zdawali się z nią rozmawiać.

Ale dlaczego nie miałyby mieć przy sobie także i dziadków? Ponieważ wcale ich nie pamiętała, namalowała wymarzonych w wyobraźni dziadka i babcie: mądrych, doświadczonych życiem i wyrozumiałych, z żywymi oczyma w pokrytych zmarszczkami twarzach. Jej największym pragnieniem było mieć rodzeństwo i też je namalowała. Brat, starszy od niej, wysoki, silny, z uśmiechem

budzającym ufność i dodającym otuchy. Młodsza siostrzyczka, wesoła, trochę przekorna, ale bardzo miła — oto jej wyśnzione rodzeństwo. Chciała też mieć grono przyjaciół, złożone naturalnie z samych malarzy, którzy odwiedzaliby ją i rozweselali. Namalowała ich kilkunastu, wszyscy wyglądali bardzo sympatycznie i byli — rzecz jasna — wielbicielami jej malarskiego kunsztu.



Ilekcroć zapragnęła, by przyszli z wizytą, wyciągała ich portrety ze schowka i rozstawiała je wokół swojego fotela. Często również gromadziła na piknik, w pokoju-wsi, całą rodzinę i spędzała z nią cudowne godziny.

Teraz, dzięki podszeptowi tajemniczego głosu, nie była już sama.

Jakie to wspaniałe być malarką: mogła stworzyć rzeczywistość, i w dodatku tak piękną, że była prawdziwsza od rzeczy prawdziwych.

A jednak jeszcze nie odczuwała pełni zadowolenia. Wszystko wokół niej było idealnie piękne: natura, wszyscy jej bliscy, łączące ją z nimi uczucia; ale ona sama?

Namalowała pejzaże i ludzi najbardziej urzekających, ale ona czuła się obca w otaczającym ją pięknie. Nie była brzydka, wprost przeciwnie, nie mogła jednak

być równie urodziwa jak owe osoby, które tworzyła z taką miłością i takim artystem.

Im więcej o tym myślała, tym większe ogarniało ją zniechęcenie i nawet zaczynała mieć żal do owego tajemniczego głosu, czyżby ją zwodził? Brzmiał wprawdzie miło i serdecznie, ale był głosem kogoś, kto nie odważał się stanąć przed nią twarz w twarz. A może to jakaś zasadzka albo czary?

— Nie pójdę już więcej za jego radą — obiecywała sobie Donatella, a kiedy się odezwie znowu, zmuszę go, aby wyjawiał, kim jest...

Wkrótce głos, jak gdyby odgadując myśli Donatelli, ponownie do niej przemówił:

— Nie smuć się, Donatello. Każdy, kto potrafi patrzeć na swoje najlepsze strony, staje się piękny.

Tak, niepotrzebnie się martwiła i jak mogła stracić zaufanie do tego głosu, który brzmiał tak ciepło i tak mądrze radził! Donatella pojęła w lot jego słowa: powinna patrzeć na siebie z taką samą miłością, jak na cuda natury, które pożerała oczyma. To właśnie podszeptał jej głos. Ale jak tego dokonać? Nic prostszego — wystarczy zrobić autoportret.

Zaraz zabrała się do dzieła. Starła się ukazać wszystko, co było w niej najlepsze. Wymalowała swoje oczy jasne, bystre, zachłanne, czujny wyraz twarzy, jaki przybierała, kiedy przejęta i radosna chciała odtworzyć na płótnie to, co sobie upodobała. Wyszedł wspaniały portret! Wpatrywała się weń jak urzeczona. Harmonizował idealnie z portretami rodziny i przyjaciół, była równie piękna jak oni, owiana tchnieniem poezji.

Wpatrywała się weń przez całą noc i były to dla niej cudowne godziny. Ale rano, przeglądając się w lustrze, doznała wielkiego rozczarowania.

— Tak oto wyglądam — powiedziała sobie w duchu — prawdziwa Donatella to jest ta, w lustrze. Ładniutka, i owszem, ale daleka od wymarzonego ideału. O ja, nieszczęśliwa, to było tylko złudzenie, to wszystko fałsz, natura, którą wymalowałam, portrety rodziców, przyjaciół, wszystko!

Byłaby gotowa zrobić wszystko, byle wyglądać tak, jak na autoportrecie. Jedynie wtedy cała reszta byłaby prawdziwa i ona mogłaby żyć w tej doskonałej harmonii, wśród wyidealizowanych gór i mórz, wśród nie mających sobie równych rodziców, rodzeństwa i przyjaciół.

Zapragnęła całą duszą, aby dał się słyszeć znów pogodny i cichy głos, który udzieliłby jej mądrej rady: on jedynie mógł przyjąć jej z pomocą. Donatella nie zadawała już sobie pytania, kto to taki, ale dlaczego zapadał jej tak głęboko w serce i oświecał ją. Było w nim coś magicznego.

Oczekiwała go niecierpliwie, a nawet wzywała :

— Gdzie jesteś? Czemu nic do mnie nie mówisz? Potrzebuję cię, jestem bardzo nieszczęśliwa. Odezwij się!

Głos dał się słyszeć wreszcie, jak gdyby odpowiadając na jej zew:



— Głuptasku — rzekł, przybierając tym razem ton czulej wymówki — sztuka może wszystko, jest silniejsza od rzeczywistości, od każdego lustra. Artysta może przewyciężyć wszystkie trudności życiowe. Zapamiętaj sobie, że ty jesteś najsilniejsza.

Wyglądało to na jakiś rebus: głos nie wypowiedział się jasno, lecz ton jego był



żartobliwy, jak gdyby krył się w nim szelmowski podszept.

Fortel, oczywiście! Jak mogła nie zrozumieć od razu — to było takie proste. Także i tym razem głos podszeptał jej wielką prawdę: była rzeczywiście silniejsza od rzeczywistości, od każdego lustra. Wzięła paletę, pędzle i na wszystkich lustrach w domu wymalowała swój portret. Teraz stając przed nimi mogła widzieć siebie taką, jaką chciała być. Nareszcie wszystko dokoła niej było idealnie harmonijne i piękne: także i ona, także i jej serce.

— Stokrotne dzięki — powiedziała Donatella, rozpromieniona — teraz naprawdę mogę żyć w niepokalanym świecie sztuki.

Od tego dnia nie usłyszała już nigdy tajemniczego głosu. Nie odczuwała jednak jego braku, bo odgadła całą tajemnicę. Zrozumiała, że przemawiał do niej głos sztuki, dobywający się z jej własnego serca. Sztuka bowiem jest również wielką czarodziejką, wielką ułudą, ale ułudą, którą można żyć.

# TWOJE MIASTO

Fantazja czy rzeczywistość to,  
owa podróż  
do dziesięciu miast?  
Trochę to — trochę to,  
trochę jawa,  
trochę sen.  
Ledwie wymarzysz  
któreś z tych miast,  
wnet rzeczywiście  
staje się — trwa.  
W myślach ludzkich  
wszystkie milczą  
utajone  
tajemniczo.  
Z tych, które są,  
i z tych, które jeszcze  
wymyślić się da  
(bez wrózenia ze stokrotek),  
wybierz najpiękniejsze miasto  
i wybuduj pracą własną.  
Wszystkie szpetne  
z ziemią zrównaj  
bez litości  
twym kilofem  
dobrej woli  
i dzielności  
— czystych rąk.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

POEZJOGRÓD  
POLICJOPOLIS  
ARCHITEKTONIA  
SPORTOGRÓD  
MILITARIOPOLIS  
DWÓJKOWICE  
POSIADACZYN  
MASZYNOPOL  
RAFAELOWO  
TWOJE MIASTO